№ 21. Warszawa, dnia 14 (26) Maja 1877 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. -Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie. kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Kwestye i Sprawy.

III.

Zachowanie i przedłużenie życia.

Wiadomą jest rzeczą, że cielesna powłoka człowieka ciągle zużywa się i odmienia, a po upływie lat kilku (podobno siedmiu) odnawia się zupełnie, tak że w całem ciele, skórze, kościach i t. d. nie pozostaje już nic dawnego. Starożytni nie wiedzieli o tem zjawisku i dla tego jeden z ich poetów skarży się niesłusznie, że węże zrzucają skórę, a ludziom bogowie tego dobrodziejstwa odmówili: owszem i ludzie odnawiają swoją powłokę, ale powoli, nieznacznie i niedostrzegalnie, bo ciągle i bezustannie. Niejedna z czytelniczek może nie pomyślała o tem, że przed laty oddała dozgonnemu towarzyszowi bynajmniej nie tę samą rękę, którą dziś posiada: że niegdyś obdarzała wielbicieli uroczem spojrzeniem już nie tych samych swoich oczu, uśmiechem nie tych samych już ust: wszystko to już w ciągu lat kilku uległo zupełnemu odnowieniu, a jeżeli w mowie potocznej mówimy o tej samej ręce, tych samych oczach i ustach: to tylko dla tego że te ręce, oczy, usta i t. d. i teraz, jak dawniej, należą do tej samej osoby, i teraz jak dawniej są moje lub twoje, gdyż osoba, *ja* ludzkie czyli dusza jest stale tą samą, choć już ani źdźbła dawnego ciała i dawnej krwi nie pozostało. Oddech, obieg krwi i trawienie ułatwiają wydalenie z ciała cząstek zużytych pracą, ruchem i czuwaniem, a natomiast powietrze i pokarmy, przy pomocy tych samych procesów fizyologicznych, zasilają ciągle nasz organizm i dają mu, na miejsce zużytych i usuniętych, nowe pierwiastki, potrzebne do wytworzenia krwi, muskułów, kości i t. d. Chociaż będzie to może wyrażenie nieestetyczne, potrzeba jednak wyznać, że przez oddychanie i spożywanie pokarmów żywimy się ciągle własnem ciałem i krwią, to jest pochłaniamy takie materye, z których wyrabiają się nasze ciało i krew; gdyby zaś w powietrzu, którem oddychamy i pokarmach, które przyjmujemy, zabrakło lub było za mało albo za wiele tych rzeczy, które nam do składu krwi i ciała są potrzebne, oczywiście zdrowie i życie nasze w takim razie muszą być na szwank narażone.

Nowoczesna chemia wykazała, że w przyrodzie nic nie tworzy się i nic nie ginie: nikt nie jest w stanie wytworzyć ani jednego grana jakiejkolwiek materyi z niczego, to jest niezależnie od znajdującej się już materyi. Rozmaite połączenia są tylko chwilowe i pozorne: w gruncie rzeczy te same gazy, te same ciała i metale odbywają tylko wieczny obieg w roślinach, zwierzętach i ciele ludzkiem. Te same części składowe, które przyjmujemy w siebie w kawałku mięsa, zwierzę, z którego to mięso pochodzi, wzięło z pokarmu roślinnego, a roślinom dały je grunt i powietrze; te same cząstki i w naszem ciele nie giną, lecz przerabiają się na inne wytwory, łącząc się w rozmaite kombinacye, a po śmierci człowieka, prochy jego oddają część tych samych cząstek składowych powietrzu, a część ziemi, która z nich znowu wytwarza rośliny, a te znowu służą na pokarm zwierzętom, zwierzęta zaś ludziom i t. p.

Podobnie wciągamy przez oddychanie powietrze, zawierające tlen; część tego tlenu zatrzymuje nasz organizm, a część, łącząc się z niepotrzebnym w ciele węglem, wychodzi przez wydychanie, jako kwas węglowy, który znowu pochłaniają rośliny, a zatrzymując węgiel, oddają napowrót tlen, pochłaniany nanowo przez zwierzęta i człowieka; węgiel zaś służy także na pokarm zwierzętom i człowiekowi, żywiącym się tą rośliną. Tym sposobem proces oddychania łączy się z procesem żywienia się i oba wspierają się wzajem.

Części składowe rozmaitych ciał i istot zawsze są te same: ten sam węgiel pozostaje po spaleniu kawałka drzewa, ten sam lśni się w brylancie, ten sam zawiera się w maśle lub chlebie. Odnawiając się ciągle, organizm ludzki, od chwili urodzenia człowieka aż do jego śmierci, pozbywa się tych samych cząstek zużytych i przyjmuje nowe, zawsze w tym samym gatunku. Gdyby więc ciało ludzkie było *jedynie* machiną, podtrzymywaną procesami fizyologicznemi i chemicznemi, to powinnoby, co chwila naprawiane i odnawiane, trwać wiecznie albo przynajmniej niezmiernie długo, gdyż składowe części ciała starca w niczem, co do swego składu, nie różnią się od takichże części dziecka, młodzieńca lub męża w wieku dojrzałym. Fizyologowie i lekarze powiadają, że temu długiemu trwaniu stoi na zawadzie ciągła praca organów oddechowych, krwionośnych, przyrządów trawienia i mozgu, który choć nie jest siedliskiem duszy, ale jest niezaprzeczenie jej organem; ta praca jak wszelka inna, zużywa i osłabia pracujący mechanizm. Mądre urządzenie Opatrzności, tak cudownie uporządkowawszy procesa życia organicznego, daje mu wprawdzie potrzebny do pokrzepienia odpoczynek we śnie, ale we śnie odpoczywają tylko muskuły, mózg i organa trawienia; bicie zaś serca i krążenie krwi nie ustają ani na jedną chwilę od urodzenia człowieka aż do jego śmierci, z wyjątkiem chyba krótkich przestanków między jednem uderzeniem serca i drugiem. Zresztą, jak mniemamy, nie sam tylko ciągły ruch serca i krwi skraca życie człowieka: byłby to pogląd zbyt materyalistyczny, tembardziej że i owe króciutkie, zaledwie ułamek sekundy wynoszące przestanki muszą być dostatecznemi, jeżeli mądra Opatrzność dłuższych nie udzieliła. Nawet ze stanowiska czysto materyalnego należy tu wziąć w rachubę choroby, które i po uleczeniu muszą zostawiać ślady zaburzeń w organizmie, a może i zarody nowych chorób, dalej braki odżywiania, oddychania i pożywienia czyli powietrza i pokarmów, a nakoniec całą sferę działalności duchowej, której natężenia, walki, cierpienia i zawody szkodliwie odbijają się na organizmie i skracają życie człowieka, nie na poparcie powyżej wspomnianej zasady, jako-

by *to, co duchowi pomaga, szkodziło ciału*, ale raczej na poparcie tej innej, że *to co szkodzi duchowi, szkodzi także i ciału.*

Przedewszystkiem mamy wypowiedzieć kilka uwag o brakach odżywiania. Zacznijmy od pożywienia. I tu także będziemy posiłkowali się niektóremi danemi z wymienionego wyżej artykułu d-ra Szyszły, który zawiera wyniki ostatnich badań naukowych w tym przedmiocie. Z budowy zębów i organów trawienia jest rzeczą widoczną, że człowiek należy właściwie do istot *owocożernych*, to jest że pierwotnie, jak i dziś jeszcze w niektórych krajach gorących, żywił się wyłącznie owocami. Z biegiem czasu, wynalazłszy ogień, ludzie zaczęli także używać i pokarmów mięsnych, tak że obecnie człowiek jest wszystkożernym, to jest używającym zarówno roślinnych jak i zwierzęcych pokarmów i jako taki, jest jedynym tworem na ziemi, gdyż wszystkie zwierzęta są albo wyłącznie mięsożernemi, albo wyłącznie roślinożernemi (z wyjątkiem niektórych zwierząt domowych jak mięsożerne pies i kot i roślinożerny wieprz, które człowiek nauczył jeść wszystko). Człowiek stoi więc niejako w pośrodku między tworami mięsożernemi i roślinożernemi—zajmuje środek umiarkowany, który w ogóle wszędzie i we wszystkiem jest najlepszym i stanowi miarę względnej doskonałości. Temu jego stanowisku odpowiada i miara jego długowieczności. Zwierzęta roślinożerne (np. owca lub wół) żyją krótko (wyjątek stanowi słoń), gdyż rośliny są pokarmem do strawienia trudnym, którego trzeba spożywać ogromne ilości, tak że całe prawie życie tych zwierząt upływa na ciągłem powolnem jedzeniu i przeżuwaniu pokarmów, jak to można widzieć u bydła domowego. Zwierzęta mięsożerne, przeciwnie żyją dłużej, trawią swój pokarm prędko, ale ten czyni je drapieżnemi i okrutnemi. Mądrze tu Opatrzność zwolniła człowieka od jednej i drugiej ostateczności: niewątpliwie bowiem człowiek, gdyby musiał, jak wół, spożywać ogromne ilości trawy i całe dni poświęcać jej przeżuwaniu i trawieniu, nie miałby czasu do rozwoju duchowego, do pracy umysłowej i społecznej, tembardziej że prawdopodobnie i życie jego byłoby krótszem; z drugiej zaś strony, gdyby był skazany na pokarm wyłącznie mięsny, stałby się tworem okrutnym i krwiożerczym, jak wilk lub tygrys, ciągle poszukującym zdobyczy, a że tej mogłoby łatwo zabraknąć, łatwoby więc stać się mogło, że ludożerstwo byłoby prawem i zwyczajem, aż wreszcie ludzie, wytępiwszy zwierzęta i wytępiwszy się wzajem, zniknęliby z powierzchni ziemi, pozostawiając po sobie martwą pustynię.

Chemicy obliczyli, ile potrzeba ciału ludzkiemu na dobę pożywienia, czerpanego z powietrza i z pokarmów. Według prof. Beneke, przytaczanego przez d-ra Szyszłę, człowiek dorosły potrzebuje na dobę 750 gramów (około 1½ funta) tlenu z powietrza, od 1,500 do 1,800 (od 3 do 3½ funtów) wody i około 1,000 gramów (2 funtów) stałych materyi; przytem większość pokarmów zawiera i stałe materye i wodę. Otóż w liczbie tych stałych materyi powinno być około 20 gramów (około łuta) azotu (gazu, który tylko w małej cząstce zawiera się w powietrzu, a dla ciała jest potrzebnym, jako część składowa niezbędnego dla każdej istoty żyjącej białka) i około 320 gramów (trochę mniej niż ¾ funta) węglika. Wypada ztąd, że stosunek azotu do węglika w pokarmach ludzkich powinien być jak 20: 320 czyli jak 1 do 16. Następnie chemicy oznaczyli ilość tych obu materyi w rozmaitych artykułach żywności; z tego obliczenia wypadło, że jedno tylko *mleko* przedstawia prawie zupełnie dokładnie wymagany stosunek azotu do węglika, że więc samem mlekiem możnaby wyżyć: to nam tłomaczy, dla czego cudowne urządzenie Opatrzności wyznaczyło mleko matczyne na pokarm niemowlętom i dla czego ten jedyny pokarm im zupełnie przez czas długi wystarcza. Wszelako, gdyby człowiek dorosły chciał żyć samem mlekiem, musiałby go spożyć na dobę około 7 funtów czyli przeszło garniec, co z wielu względów byłoby niekorzystnem. Wszelkie inne pokarmy przedstawiają taki stosunek, że żaden z nich nie wystarcza — ani roślinny, ani mięsny i człowiek koniecznie musi mieszać oba rodzaje pożywienia. Tak np. gdybyśmy chcieli żyć samemi kartoflami, musielibyśmy spożywać ich dziennie po 8 przeszło funtów i wtedy spożylibyśmy dostateczną ilość azotu, ale węglika spożylibyśmy przeszło ¼ funta zanadto, a oprócz tego zużylibyśmy w ogóle trzy razy więcej niż potrzeba pokarmu stałego, co niezawodnie zaszkodziłoby zdrowiu i sprowadziłoby po pewnym przeciągu czasu śmierć niechybną. Podobnież, gdybyśmy chcieli jeść tylko mięso. to w 1½ funtach mięsa znaleźlibyśmy wprawdzie żądaną ilość azotu, ale brakowałoby około ½ funta węglika, którego mięso zawiera niewiele. Gdybyśmy chcieli nakoniec poprzestać na samym chlebie, musielibyśmy spożyć około 4 funtów bułek, ażeby przyjąć potrzebną ilość azotu, a i tak spożylibyśmy około ½ funta węglika zanadto. Widocznie więc z natury wskazaną jest człowiekowi konieczność łączenia pokarmów mięsnych z roślinnemi. Z tabliczki stosunku zawartości wszystkich ważniejszych pokarmów, której tu całej wypisywać nie możemy (przytoczonej przez d-ra Szyszłę w Ateneum Styczeń str. 43) możnaby ułożyć odpowiednią proporcyę potrzebnych pokarmów: mniej więcej, dorosłemu pracującemu (czy to fizycznie czy to umysłowo) człowiekowi potrzeba dziennie od ½ do ¾ funta mięsa, a resztę chleba, jarzyn i wody. Ponieważ skazówki chemików są późniejszym nabytkiem — są one dopiero wyciągnięciem przedwiecznych i mądrych praw Opatrzności, niekoniecznie więc nasze gosposie i kucharki mają znać chemią: Opatrzność musiała już oddawna dać człowiekowi poczucie miary, jaką powinien zachować w pokarmach, a tą jest naturalny apetyt i uczucie sytości. Nie idzie tu o matematyczną wierność podanym cyfrom: rozmaite bywają temperamenta, stan zdrowia i humoru, większy lub mniejszy ruch, bezczynność lub znużenie pracą — wszystko to wpływa na potrzebną ilość pokarmów, a ów *przeciętny* człowiek, dla którego powyższe ilości oznaczono, jest, jak wszystko co przeciętne, tylko przybliżoną fikcyą; zawsze jednak, trzeba pamiętać, *żeby urozmaicać pożywienie mięsne roślinnem* (najpożywniejsze z jarzyn są fasola i groch, z ryb — stokfisz, pożywne są także sery) — będzie to pierwsza praktyczna skazówka w przedmiocie pokarmów, i żeby *nie jeść, gdy nie ma apetytu* — to druga skazówka. Obydwie wypływają z powyższych roztrząsań. Apetyt zaś podtrzymuje się przedewszystkiem pracą i stosownym umiarkowanym ruchem.

(*d. n.*)

Do domku pod nazwą „WARSZAWA"
DLA NIELETNICH PRZESTĘPCÓW
w osadzie Studzieniec.

. . . . Bóg z wami nieszczęśliwi!
Z sercem miłości pełnem i z tą wiarą
Której nie tracą nigdy sprawiedliwi,
Mówię: — nie chcemy was pognębiać karą,
Ale pragniemy, byście odrodzeni
Wyśli na światło wśród ponurych cieni.

* * *

Przed wami życie, przyszłość, a dokoła
Każdy rad wam by piętno zetrzeć z czoła.
Ludzkość do serca — jak matka was garnie,
Wzbogaca rozum i koi męczarnie.

* * *

Dalej do pracy, wierzajcie chłopacy
Że nawróconych świat przyjmie z ochotą.
Bóg czuwa — strzeże — wierzcie w tego Boga
A jasną stanie się wam życia droga.
I który wytrwa — będzie ocalony.
Boże wysłuchaj — bądź pochwalony!

Miron.

Pani Elizie
ORZESZKOWEJ.

Dotrzymując cennego dla mnie zobowiązania, że gdy pióro moje skreśli szczere dzieje cichej bohaterki należącej do rodziny z której wyszła Marta i Emilia, siostrzyce niedoli, Tobie pani podam je w ofierze, proszę teraz o przyjęcie tego obrazka, jako wdzięczny hołd od

Maryi Szeligi.

PANNA BOLESTA

Nowella

Maryi Szeligi.

Pocztylion zatrąbił po raz drugi. Do pocztowej karety posunęli się podróżni, wyjątkowo dziś nieliczni; dwa miejsca tylko pozostały zajęte, reszta próżnych obiecywała wygodne rozmieszczenie się jadącym, pożądane bardzo przy dokuczliwym czerwcowym upale. Nakoniec, zabrzmiała ostatnia. skocznie na trąbce wygrana pobudka, i koła z turkotem potoczyły się po bruku.

Podróżni, których los uczynił towarzyszami doli i niedoli na kilkanaście godzin, spojrzeli na siebie z mimowolną ciekawością. Jak wspomnieliśmy, było ich tylko dwoje. W głębi, siedziała kobieta w ciemnej sukni, w ciemnym również kapeluszu, dosyć młoda, średniej tuszy i takiegoż wzrostu, twarzy pociągłej, o rysach więcej sympatycznych niż regularnych, szatynka, z siwemi oczyma i wyrazem łagodnej powagi, cechującej każde jej poruszenie.

Naprzeciw, zajął miejsce mężczyzna, nie liczący lat więcej nad trzydzieści, blondyn, przystojny, w szarem angielskiem ubraniu i szafirowemi źrenicami, często mieniącemi się w odcień zielonawy, obojętnie poglądał na pospolity krajobraz, widny przez okna karety, na worki i mantelzaki zapełniające próżne miejsca i wreszcie na swą towarzyszkę.

Pierwszą stacyę przebyli w milczeniu. Kobieta dobyła książkę z kieszeni i czytała — mężczyzna, poprosiwszy o pozwolenie i otrzymawszy je, palił cygaro. Lecz mrok zmusił czytającą do zamknięcia książki, w tymże czasie, burza na którą zbierało się oddawna, wybuchnęła z całą gwałtownością i dała powód do zapytania ze strony towarzysza:

— Pani się nie lęka? może zamknąć okno?

— Nie panie—odparła miłym dźwięcznym głosem. Burza nam nie grozi, a przynosi tę ulgę, że uwolni od nieznośnego pyłu.

— Jakże pani jestem wdzięczny za jej odwagę — rzekł młody człowiek. Niedawno jadąc w towarzystwie dam, zaskoczony burzą, miałem tysiące nieprzyjemności, nie mogłem ukoić ich obaw: mdlały i spazmowały bez upamiętania.

— Są organizmy na które burza działa bardzo rozstrajająco — mówiła uśmiechając się lekko podróżna.

— Już drugi raz wygłasza sentencyą, musi być nauczycielką — pomyślał towarzysz i spytał:

— Pani daleko jedzie?

— Wymieniła mu ostatnią stacyę.

— A! dążymy w jedną stronę.

— Czy pan z tamtych okolic?

— Tak pani. Mam tam swoją wioskę.

— Czy... zaczęła wahając się nieco—czy nie jest znajomą panu wieś Rudnia?

— Rudnia? należąca do pani Sumińskiej? Alež to moja najbliższa sąsiadka.

— To cel mej podróży — rzekła z prostotą osoba, którą nazwiemy chrzestnem imieniem Bolesty — jadę tam jako nauczycielka dla córki pani Sumińskiej.

Młody człowiek uśmiechnął się, widząc swe przypuszczenie tak trafnem — i wywzajemniając się za wyjaśnienie niejako swej osobistości — przedstawił się, kłaniając lekko:

— Roman Brzozowski. Znam dobrze, ciągnął dalej, dom pani Sumińskiej i małą Adelę.

— Mówiono mi, że ma już lat piętnaście.

— Być może. Parę lat spędziłem zagranicą, zkąd teraz wracam, a te, wiele różnicy stanowią dla młodej dziewczynki. Tak — musi być teraz niemal dorastającą. Sama pani, jest to zacna dama, lecz przywiązanie bezgraniczne do córki, staje się zarówno jej cnotą jak grzechem... Niezmiernie pieści i psuje swą jedynaczkę.

Panna Bolesta westchnęła nieznacznie — może przewidując cierniową ścieżkę, jaka się przedstawia nauczycielce rozpieszczonej jedynaczki.

Roman dosłyszał to westchnienie, i oczy jego z pewnem zajęciem spoczęły na niej — chwilę milczeli oboje.

— Pani po raz pierwszy przybywa w nasze strony? spytał znów mając ochotę do rozmowy.

— Tak — dotąd mieszkałam w pobliżu Warszawy.

— Może się pani tutaj wyda trochę nudno i pusto. Jest to zakątek typowo parafialny.

— Ja sądzę — ozwała się nieśmiało Bolesta — że znudzenie lub zabawa, głównie zależy od naszego usposobienia... Najbardziej wesołe towarzystwo nie zdoła zająć, rozbawić, jeśli duszę smutek lub nuda przygniata... i przeciwnie, często choć bez widocznych rozrywek, czujemy się zadowoleni...

— To wielka prawda — zgodna z tą, że szczęście jest własnego serca wyrobem.

— Tak, o tyle, o ile wpływem tego serca zdołamy zapanować nad okolicznościami, lub, o ile możemy chłodno odczuwać ich wrogi nacisk.

— Ma pani słuszność, gdyż bywają zdarzenia, że jedno i drugie nie jest w naszej mocy.

— Wtedy jesteśmy nieszczęśliwi.

— Bezwarunkowego nieszczęścia podobno nie ma na ziemi? podjął Roman.

— Są przecież takie, w których nie znajdziem ani pociechy ani nadziei — wyrzekła ciszej nauczycielka.

Roman spojrzał się znów — mimo zapadającego zmroku widział jej lica, smętne, blade i noszące ślady gorzkich prób życia. Współczucie jego i sympatya się wzmogły, i usiłował nawiązać przerwaną nić rozmowy. Szła ona łatwo: panna Bolesta szczerze i naturalnie odpowiadała na pytania, i po kilku godzinach dowiedział się, że miała ojca sparaliżowanego, macochę i liczne rodzeństwo; że dotąd przebywała to na pensyi, to u ciotki ucząc jej córki—mógł też postrzedz, że wykształcenie jej było bardzo staranne, łagodność i smutek cechowały jej usposobienie. Gdy opowiadając coś ożywiła się nieco, przyczem siwe oczy promieniły blaskiem, a delikatny rumieniec ozdobił miłą twarzyczkę, wydała się wcale ładną — i panu Romanowi przyszła myśl do głowy:

— Czy też ta istota, ten biedny kwiatek więdniejący w trudzie i smutkach życia, czy ona kochała kiedy? Czy jej serce przebyło już tę porę swego rozkwitu, lub czy zgnębione bólem dotąd jeszcze nie dało znaku swego istnienia?

Mimo znajomości świata trudno mu było cobądź w tej mierze odgadnąć. Panna Bolesta miała w rozmowach właściwą nauczycielce powściągliwość, i żadne, choćby najmniej dwuznaczne w kwestyach serca słowo nie wyszło z jej ust. Roman probował mówić o wszystkiem coby mogło mu dać do spostrzeżeń pole: o sztuce i poezyi, o uczuciu w muzyce, ztąd o wrażliwości, tkliwości i nakoniec, już robił zwrot ku erotyzmowi — lecz panna Bolesta, wybornie podtrzymująca myśli swego interlokutora, gdy się tyczyły sztuki i natchnienia, czyniąc trafne i umiejętne uwagi, okazując wiele zapału i znajomości rzeczy, teraz — zamilkła, sięgnęła do woreczka, dobyła pomarańczę i obrawszy ją, poczęstowała zmieszanego pana Romana, i sama jadła najspokojniej, monosylabami zbywając jego acz ostrożne badania. Za to — widział pan Roman, że mówiąc o ojcu, miała łzę w oku, że choć wzmianka jej była lekką, odgadnąć można, iż dawniej dobry byt nie wróżył jej dzisiejszego zawodu — odczuł także, iż ta młoda jeszcze głowa, dojrzewała wśród ciężkich i bolesnych myśli — i że rozwój umysłowy, mimo bardzo skromnego pozoru, w niepospolitych osób stawiał ją rzędzie.

Nawzajem, panna Bolesta, powzięła o nim jaknajlepsze wyobrażenie. Okazywał jej tyle uprzejmości i współczucia, rozmowa z nim była tak swobodną, a nawet, gdy później zaczął opowiadać o swych podróżach, i udatnie skreślał charakterystykę obcych społeczeństw, tak pouczająca... Z prawdziwą przyjemnością spędzili razem godziny, które im wcale nie wydały się długie i nużące. Na ostatniej stacyi, nim Roman wsiadł do czekającego nań eleganckiego koczyka, podprowadził pannę Bolestę do przysłanej po nią nejtyczanki i żegnając ją ściśnieniem ręki, wymówił:

— Prawdziwie rad jestem ze spotkania pani, i ze sposobności częstego jej widywania.

Twarz nauczycielki zróżowiała silnie, siwe oczy rzuciły mu z pod ciemnego kapelusza wdzięczne i łagodne wejrzenie— i w tejże chwili nie wiem z jakiego powodu pan Roman pomyślał:

— Nie! ona nie kochała się w nikim... Biedna dziewczyna!...

Na przybycie nauczycielki, co już raczej towarzyszką być miała dorastającej panienki, przygotowano w okazałym dworze pani Sumińskiej, miły i z wszelką wygodą urządzony pokoik na górze, obok buduaru Adeli, błyszczącego wytwornością i zbytkiem. Wnętrza tych obu mieszkań, wyjawiały stanowisko zajmujących je kobiet W buduarze, miękki kobierzec zaścielał posadzkę, jedwab' niebieski lśnił się na pokryciu mebli, mnóstwo kosztownych drobiazgów, niemal cacek, zdobiło ten zakątek, gdzie pieszczone dziecię na każdym kroku znajdowało coś do rozrywki i przyjemności. W pokoju dla nauczycielki były sprzęty zwyczajne: łóżeczko czysto białą kapą okryte, biórko, kanapka, szafa z książkami i druga na bieliznę, w kącie pianino, gdyż w umowie zastrzeżono, aby przybyła nauczycielka znakomitą była pianistką, miała na wyłączny swój użytek instrument, na którym w wolnych od zajęć chwilach pragnie się doskonalić w ulubionej sztuce.

W popołudniową godzinę, w śliczny dzień czerwcowy zajechała panna Bolesta przed ganek dworu zdobny kolumnami. Lokaj wskazał jej przejście do salonu, zkąd nadchodziła pani domu na jej powitanie. Obie kobiety podały sobie ręce, badając wzajem oczyma, a po wyrazie twarzy znać było, że wywarły na siebie wzajem dość sympatyczne wrażenie. Nim zdołały przemówić cokolwiek, z bocznych drzwi, lekkim krokiem nadbiegła dzieweczka, wysmukła, w liliowej sukience, śliczna blondynka z rozwianą masą złocistych loków w około białej, ożywionej wiecznym uśmiechem swobody i szczęścia, twarzyczki. Panna Bolesta poznała w niej swą uczennicę, a wdzięk jej tak ją mimowolnie ujął, że zapomniała o obawie wznieconej wzmianką pana Romana.

Pierwsza znajomość zawiązała się dość łatwo. Pani Sumińska w krótkiej przemowie określiła swe wymagania co do rozwijania się w niej muzycznego talentu, obznajmienia z literaturą obcą i swojską i nakoniec, życzyła sobie, aby nauczycielka zwracała baczną uwagę na ułożenie, obejście i wysłowienie młodej panienki, a w życiu towarzyskiem, do którego już potrosze wprowadzano jedynaczkę, znudzoną wyczekiwaniem chwili wyzwolin na dorosłą pannę, nauczycielka była obowiązaną stać się wzorem i przykładem.

Panna Bolesta posmutniała trochę... miała ona poważniejszy ideał swego stanowiska, zasadzający się na wpajaniu w młodą duszę wszystkiego, co gruntowna nauka, podniosłe i szlachetne pojęcia, wytworzyły na świecie jako cenny eliksir ku utrzymaniu moralnego zdrowia, jako antidot, przeciw wpływom złego, tak łatwo grożącym zatruciem na wstępie niewinnego umysłu i serca. Poznała z przykrością, że tutaj, wszelkie jej starania w celu udoskonalenia własnej moralnej istoty, by tem śmielej podejmować się przewodnictwa młodych duszyczek, cały zasób zdobytej wiedzy wyższej nad programat elementarny, zamknięty w granicach pospolitego bakalarstwa, zbytecznym tutaj był... gdyż matce, rozkochanej w ślicznej powierzchowności córki, głównie szło o przyozdobienie jeszcze kilkoma powabami więcej, ale tylko aby zewnętrznie córka jej mogła olśniewać talentem, wymową i dowcipem... co do reszty, zdawała się o głąb ducha i uczuć nie troszczyć — nie myśleć nawet, iż Adelę można uczyć coś innego i pożyteczniejszego nad grę na fortepianie, deklamacyę w trzech językach i zręczne znalezienie się pośród zgromadzonych w salonie gości. Zrazu, panna Bolesta zmartwiła się szczerze, powziąwszy nieszczególny sąd o rozumie i uczuciach matki swej uczennicy. Nie mogąc się sprzeciwiać, zastosowała się do danych wskazówek, ułożyła systematycznie godziny, i w ciągu ich dawała zdolnej choć niecierpliwej Adeli lekcye muzyki, literatury, historyi, z którą panienka słabo była obznajmioną, i rozmawiała z nią wykwintnym, czystym polskim językiem, gdyż angielka i francuzka pilnowały płynności swej ojczystej mowy, wyuczywszy od dziecka piękną pieszczoszkę władać nią biegle. Ale mimowolnie ujarzmione przekonanie podnosiło bunt przeciw tej niewoli — wśród wykładu zapał do przedmiotu unosił ją za konwencyonalną formułę, z faktów wyciągały się niepostrzeżenie wnioski, a bystry i lotny duch nauczycielki, przywykły do swobody w poglądach, do zaciekania się w naukowe tajniki, wyrywał się co

chwila, to filozofią trącącym aksiomatem na pomrok dziejów przeszłości rzucającym błyskawiczne światło, to zdaniem wysnuwającem z wątku historyi lub poezyi, barwną nić kwestyi społecznych. Postrzegła panna Bolesta, że przymus ten, to wędzidło powszedniości włożonej jej w każdej chwili na usta, w bardzo krótkim przeciągu czasu znużył ją śmiertelnie. Spostrzegła też, że pani Sumińska, nieraz w rozmowie nawet pobieżnej, zdradzała i myśl poważniejszą i ukształcenie istotne — postanowiła więc pomówić szczerze z matką swej uczennicy, i w tym celu pewnej niedzieli po południu weszła do jej gabinetu.

Pani Sumińska odłożyła książkę, jaką miała w ręku, i poglądając życzliwie na wchodzącą wskazała jej miejsce obok siebie na kanapce. Panna Bolesta zajęła je i nie bez zakłopotania, gdyż z natury była skromną i nieśmiałą, poczęła mówić:

— Przepraszam panią, że przychodzę może nie w porę, ale chciałam...

— Owszem kochana panno Bolesto! rada jestem zawsze gdy nadejdziesz — cóż to jednak panią nakłoniło do opuszczenia swego pokoiku, gdzie tak skrupulatnie przesiadujesz? Czy ci czego nie brakuje? Powiedz droga pani otwarcie, pragnę serdecznie abyś była zadowoloną — rzekła ścisnąwszy uprzejmie jej rękę pani Sumińska.

— Dziękuję łaskawej pani — odparła — pokoik mój znalazłam we wszystko zaopatrzonym... wreszcie, przywykłam już ograniczać wymagania, i zadawalać się daleko skromniejszemi warunkami niż je mam obecnie. Lecz... inny a ważniejszy powód, zmusza mię do dłuższej i szczerej z panią rozmowy...

— Cóż takiego? panno Bolesto? mów, proszę!

— We wskazówkach jakie odebrałam od pani co do mych obowiązków, oprócz wymienienia przedmiotów jakie mam wykładać Adeli, nie było nic coby mnie objaśniło o najważniejszem zadaniu przedstawiającem się nauczycielce względem swej uczennicy... O jakimbądź wpływie moralnym, o charakterze swej córki, o rozwijaniu jej przekonań i zasad, nie mówiłaś mi pani ani słowa... Chciałam więc zapytać, czy istotnie życzysz sobie, abym podjęła tylko staranie o wykształcenie Adeli *mechaniczne*, że się tak wyrażę... uczyła ją efektów sztuki, konieczních wiadomości z dziejów i literatury, a zajmując się jej układem i wysłowieniem, przestrzegała jedynie zachowania dobrych manier towarzyskich i czystości języka?... Czy nic więcej prócz zewnętrznej strony talentów mej uczennicy nie jest powierzonem memu kierownictwu?

Pani Sumińska patrzyła z zajęciem na ożywione teraz i rozjaśnione inteligencyą rysy młodej kobiety. Zamyśliła się chwilę — potem spytała zwolna:

— Jak pani pojmujesz obszerniejszy zakres swego działania, po za granicą tych mechanicznych zajęć?...

— Ja pani — rzekła z wzrastającym zapałem Bolesta — wyobrażiłam sobie zawód nauczycielski, niby rolników na duchowej niwie... Sądzę że do nich należy uprawić grunt moralny i z największą gorliwością zasiewać najczystsze ziarno nauki, bacząc, że plony ztąd zbierać będzie... społeczeństwo. Jakie pojęcia dziś zakiełkują w młodziuchnej duszy Adeli, takie wzrosną w przyszłości, takież wydadzą owoce... Jeśli w tej najstosowniejszej chwili do przysposobienia tej niwy moralnej zaniedbamy ją — chwast lekkomyślności, fałszywe poglądy wybujałe lub karłowate, zgłuszą i zniszczą wszelki zasiew wiedzy... Jakże ona zdoła pojąć wypadki dziejowe, ocenić wpływ cywilizacyi, odczuć piękno zawarte w sztuce, jeśli nigdy nie posłyszała, co jest duch czasu, co poszukiwaniem prawdy, co ideałem serc podniosłych?... Będzie ona podobną do niewidomego sądzącego o kolorach... do wspaniale na zewnątrz przystrojonego budynku, we wnętrzu którego smutna zawiera się próżnia...

Zamilkła na chwilę, pytającemi oczyma spoglądając na matkę Adeli — lecz ta zdawała się jeszcze słuchać tej mowy — Bolesta poczęła znowu, już zupełnie z początkowej nieśmiałości wyzwolona:

— Gdybym była postrzegła w Adeli, ślad pracy w kierunku o którym wspomniałam — byłabym poprzestała na przekonaniu, że ktoś inny, że pani sama podejmuje tę najtrudniejszą, a zarazem najwdzięczniejszą część wychowania swej córki. Gdybym również nie spotkała w pani wyższego stopnia wykształcenia, nie posłyszała kilku zdań, dowodzących jej trafnego i obmyślanego sądu o świecie moralnym, sądziłabym, że nieświadomość pozbawia Adelę wskazówek, kędy człowiek dochodzi do prawdziwego przybytku mądrości... Lecz nie widzę tu ani jednego ani drugiego powodu... a przecież codzień więcej poznaję, że dusza mej dorastającej młodzieńczego wieku uczennicy, jest senną jak niemowlę, że myśl jej kręci się tylko w obrębie cacek i zabawek, że nauka jej ogranicza się na gimnastyce pamięciowej, i nie wiele różną jest od machinalnie powtarzanego frazesu przez jej ulubioną papugę, *ah! que j'aime ma petite Adele...* tak samo, bez zrozumienia i uczucia, powtórzy Adela: ach! jak ja lubię literaturę i sztuki! Będzie to frazes i nic więcej!...

— Czy nie postrzegłaś pani w mej córce wad kłamstwa, bezbożności, uporu, nieprzyzwoitych nawyknień? spytała pani Sumińska.

— Nie pani! jest ona łagodną, o ile jej żywy temperament na to pozwala, mówi pacierz, i układ jej jest bez zarzutu — odparła z lekką ironią w głosie nauczycielka.

— Uczy się dobrze?

— Zdolności ma wiele — ambicya *salonowej panny* nakłania ją do pracy dla zdobycia wiadomości.

— Serce ma dobre.

— Obdarza bez wyjątku każdego proszącego jałmużną... rzekła ze znaczeniem Bolesta.

— Jest to więc istota, niewinna jak karta papieru, przyznaj pani, piękna welinowa karta, na której życie prawdopodobnie zapisze wyrazy: szczęście, dostatek i spokój...

Taką ją mieć pragnę — mówiła pani Sumińska uśmiechając się nieco, gdy twarz nauczycielki zapałała zdziwieniem blizkiem oburzenia:

— Tylko welinową kartą?... powtórzyła — wybacz pani — ja myślałam że wierzysz iż każdy człowiek ma duszę i odróżniony przez Boga samego od tłumu rzeczy nieżywotnych i nieczułych...

— Posłuchaj mię panno Bolesto — przerwała poważnie i z pewnem wzruszeniem pani Sumińska, biorąc jej rękę — tyś zacna, tyś rozumna kobieta, ja szanuję twe przekonania, ja pojmuję twoje słowa, ale brak tobie jeszcze jednej nabytej tylko z czasem umiejętności, którą ja, dwa razy niemal od ciebie starsza posiadam: jest to *doświadczenie.* Ja chcę, aby córka moja była szczęśliwą: ty, panno Bolesto, w tym celu, pracowałabyś, rozwijając jej myśl w najpodnioślejszych kierunkach, czyniąc jej duszę wrażliwą na piękno, dobro; szukającą prawdy, tęskniącą za ideałem; usposobiłabyś ją do bolenia nad złem nurtującem ludzkość, do uwielbienia bohaterstwa i cnoty — nauczyłabyś ją oburzać się na pychę możnowładzców, podnosić zasługę uciśnionych pracowników, wyzwoliłabyś jej pojęcia ze wszelkich przesądów, i starałabyś się wprowadzić ją na szczyt wiedzy, zkądby orlem okiem obejmowała świat, otoczenie swoje, ponad które wzniosłaby się moralnie o całą wielką przestrzeń... Czy nie tak panno Bolesto?

— Tak pani — nauczyłabym ją rozumieć i pobłażać, kochać i cierpieć... nauczyłabym ją być *człowiekiem.*

— A wiesz że jaki rezultat wyniknąłby dla niej w życiu z twoich nauk? Oto ostatnia z wymienionych zostałaby jej wieczną towarzyszką: *cierpienie.* Byłaby samotną na swej wyżynie, i cierpiałaby...

— Ach! pani! czy *ludzi* już nie ma na świecie?

— *Jeszcze* ich mało, panno Bolesto. A i ci co są, radzi z własnej wielkości, nie lubią aby ich siostra czy żona, dosięgała głową tegoż kresu co i oni, tymbardziej przewyższyła. Ten, któregoby pani nazwała wedle swego wyobrażenia *człowiekiem*, najpewniej weźmie sobie za towarzyszkę malutką kobiecinkę, wielbiącą bez dyskusyi niedostępną jej umysłowi mądrość swego męża, i zajmującą się gorliwie kuchnią życia, której on lubi przyprawy, brzydząc się przyborem.

— To być nie może! — więc pani uważa że szczęście tylko dla głupców stworzone?! zapytała unosząc się panna Bolesta.

Pani Sumińska, skrzywiła się delikatnie, i odparła:

— Średnia droga, bodaj wiedzie doń najprościej... Otóż ja chcę, aby moja córka była szczęśliwą, a doświadczenie wykazało mi smutne rezultaty systemu, którego pani jesteś zwolenniczką. Dlatego — moja Adela, umie tańczyć, grać na fortepianie, deklamować, a jak żyje nie słyszała o ekonomii politycznej, internationalu, nihilizmie, sceptycyzmie, brudach inkwizycyi, o odkryciach fizyologii, o duchu czasu i obaleniu przesądów — chyba z nazwy, i to niedokładnie. Śliczne to dziecię stąpa po kwiatach, zbiera kwiaty — a ręczę panią, że niejeden filozof rzuci volumen i pióro, i z zachwytem będzie słuchał jej szczebiotu, rozkoszując się w jej naiwności i wdzięku.

— Ależ potem, co będzie potem, pani? wołała rozpaczliwie panna Bolesta — gdy młodość przeminie, wdzięk spełznie...

— Będzie żoną — zostanie matką.

— A kto wychowa jej dzieci?...

— Ona sama, i tak samo jak ją wychowano!

Panna Bolesta potrząsła głową i chciała coś wyrzec, ale w tejże chwili dał się słyszeć turkot przed gankiem zwiastujący gości — pani domu powstała, a znów ściskając dłoń nauczycielki, rzekła:

— Lubo nie schodzimy się obecnie w pojęciach, cieszę się, że przewodniczką Adeli jest osoba tak szlachetna i rozumna... Kiedyś, może przyznasz mi słuszność panno Bolesto... dziś umiesz wiele, ale powtarzam, brak ci doświadczenia. Proszę drogiej pani, dodała zmieniając ton — przychodźcie zaraz obie z Adelą do salonu.

Panna Bolesta wracała do swego pokoiku jeszcze smutniejsza niż zazwyczaj — czuła się pognębioną: dowodzenia pani Sumińskiej znieważały jej najulubieńsze zasady; mówiła sobie z żalem:

— Więc prawdziwa nauka, więc samowiedza, na to się zdobywają w trudzie i bólu, aby pomnożyły tylko w duszy ów trud i ból?... O! nie! to sofizmat niebezpieczny, to wsteczny pogląd, to fałsz!

Nie miała dalszej swobody do rozmyślania — Adela zapukała do jej drzwi i wbiegła cała promieniejąca, a z wesołej twarzyczki, z różowej sukienki, zdały się rozwiewać w około barwy młodości i uciechy.

— Mamy gościa! droga panno Bolesto! zawołała, i to ciekawego, zagranicznego... Przyjechał pan Roman Brzozowski, który od kilku lat podróżuje wciąż po świecie — Ah, jak mu zazdroszczę! Pójdźmy prędko do salonu! Podobno był w Rzymie, i w Paryżu... pójdźmy kochana pani!

(d. n).

Chwila tęsknoty.

Gdzież wy! gdzież wy! piaski moje,
Szumy sosen tak urocze,
Gdzie nakoty*) gdzie wyboje,
Darmo w koło wzrok mój toczę,
I nie prędko was zobaczę,
Choć za wami serce płacze.
Gdzie Horynia jasne fale,
W wianek z srebrnych wierzb ubrane,
Gdzie dwór co się bieli w dali,
Wszystko znane, ukochane?

Gdzie wy wszyscy drodzy moi,
Gdzie znajomi, przyjaciele,
Tak serdeczni tacy swoi,
Gdzie mi zbiegło chwil tak wiele?

Smutnyż, smutny ten świat Boży,
Człek wciąż na nim tęskni, czeka,
Ale skarga nie pomoże,
I choć szczęście wciąż ucieka,
Choć nie prędko was zobaczę,
Lecz niech serce już nie płacze,
Ale niech się zbroi w wolę.
I do walki staje śmiało.
Gdy zdobędzie bitwy pole,
I zasłuży, czego chciało,
Wtenczas wszystkich mych zobaczę
I już serce nie zapłacze.

M. Cz.

*) Groble poleskie, wyrażenie miejscowe.

SZCZĘŚLIWA WYSPA

(wspomnienie z nad wybrzeża Atlantyku)

PRZEZ

Sygurda Wiśniowskiego.

(Dalszy ciąg).

Ostatni argument zbił mnie z konceptu. Formacya wyspy podawała pobudkę do dumy narodowej, zapewne niemniej słuszną, od wielu innych pobudek, krzepiących podobne uczucie w innych plemionach. Wszak główną przyczyną dumy Anglika jest wyspiarskie położenie jego ojczyzny, Amerykanina jej rozległość: innego narodu płodność roli pomimo wieków złego gospodarstwa. Dlaczegóż ludek na Chincoteague nie miałby być dumnym ze swojego błota, piasku, zbędności obuwia? Zacni ci wyspiarze, nominalnie należący do Stanów Zjednoczonych i do Wirginii, skutkiem wyjątkowych okoliczności, stworzyli odrębne społeczeństwo i posiedli dumę narodową, odmienną od ogółu Amerykanów.

— Lubię was — ciągnął dalej stryjaszek — i lubię whisky...

— Czy nie dużo jej pijecie stryjaszku?

— Doktór mówi: kwarta whisky na dzień jest najlepszą prezerwatywą przeciw febrze. Piję półtory kwarty i nigdy nie miewam febry.

W istocie stryjaszek stosował się ściśle do przepisów wyspiarskiej hygieny.

Nie sądźcie jednak, że pijaństwo jego pozbawiło go sprytu do interesów, odziedziczonego z przodków Yankesów. Zdanie podobne kosztowało pewnego wielkiego handlarza niemało dolarów. Przybył on raz na wyspę w niezwykłej porze. W New-York'u potrzebowano gwałtownie koników z Chincoteague. Żadna inna okolica nie może dostarczyć takiej chudoby, gdyż potomstwo tutejszych koni wyradza się na nędzne szkapy w innym klimacie i na innej strawie. Handlarz musiał mieć konie, wyspiarze nie chcieli sprzedać takowych w niewłaściwej porze. Kupiec udaje się do stryjaszka, którego słowo w tej sprawie ma powagę wysoką. Stary Ken zgodził się, pod wpływem wybornej whisky, aby sprzedano sto koników, ale naznaczył bajeczną cenę. Kupcowi włosy stanęły na głowie, lecz musiał zapłacić ile żądano, gdyż wyspiarze mając monopol w ręku, wiedzą jak go potrzeba wyzyskiwać.

Naszą rozmowę wieczorną ze stryjaszkiem przerwał stary Cezar, dawny niewolnik gospodarstwa, który nakształt ogółu niewolników na wyspie, lgnął do państwa nawet po uwolnieniu. Cóż mieli robić? Nie przychodziło im przez myśl nawet, że istnieją inne kraje oprócz Chincoteague, w których „porządny” *niger* mógłby wyżyć. Nigdzie też prawdopodobnie nie mogliby żyć z tak małym nakładem pracy. Żaden cal wyspy, ani kuc żaden nie należą do nich. Więc stosunek ich względem panów nie zmienił się, pomimo proklamacyi Lincoln'a znoszącej niewolnictwo. Zresztą panowie obchodzą się z nimi łagodnie. W kraju gdzie nikt nic nie robi, nie ma przyczyny do gniewania się na służących.

Jeden z turystów chciał odportretować Cezara. Murzyn myśli że to czary.

— Hej mój panie — protestował on — ja i tak jestem dość brzydki. Gdybyś mnie na papierze odmalował, wykrzywiłaby się twarz moja.

Przesąd ten tkwił tak głęboko w umyśle Cesa (pieszczotliwy sposób nazywania czarnych Cezarów), że nawet ofiara dziesięciu centów, ceny kwaterki wódki, nie zdołała go skłonić do zachowania się spokojnego.

— Idź i rysuj białe dziewczęta — odparł on — one ładniejsze ode mnie. Ja ci buty wyczyszczę za 10 centów. Wiem że panowie co na Alice tutaj przybywają, lubią buty świecące, mam szczotkę i często służę im w ten sposób. Lubię zarobić dziesięć centów. I ja potrzebuję pieniędzy. Pieniądze wszędzie wprowadzą... oprócz do nieba.

Tu zawrócił oczy w taki sposób, że przez pół minuty tylko białka świeciły z czarnej twarzy. Jak wszyscy murzyni, był on bardzo pobożny.

Nie mogąc go namówić do siedzenia dla portretu, filuci miejscy kazali sobie buty czyścić. Gdy murzyn zajął się tą pracą i z rzędu przechodził na klęczkach od jednego do drugiego, rysownik schwycił jego twarz płaską, kawowej barwy, ujętą w obręcz z białej wełny i bokobrodów. Kontury portretu czerniły się na papierze, zanim Ces zwietrzył niebezpieczeństwo. Rozpacz jego nie miała granic, gdy mu oznajmiono, że został oszukanym. Błagał o zniszczenie portretu, aby twarz mu się nie wykrzywiała i nie powróciła recydywa. Wreszcie pogroził sędzią. Groźby tej dotrzymał, gdyż nazajutrz zawołano nas przed wielkorządzcę wyspy, o którego istnieniu i potędze słyszeliśmy poprzednio. Ten uznał, że Ces posiadał zupełne prawo do swojego portretu.

— Oblicze każdego gentleman'a, w naturze czy na papierze — zawyrokował ten Solon nadmorski, jest niezaprzeczoną jego własnością, wedle paragrafu... hem, nie pamiętam paragrafu... statutów niepodległej rzeczypospolitej wirgińskiej. To jest primus. Secundus zaś jest, że 15-ta poprawka do Konstytucyi Stanów Zjednoczonych powiada, iż murzyn będzie odtąd tak dobrym gentleman'em jak biały człowiek. Więc Ces jest gentleman'em. Z tego primus i secundus wypływa, żebyście mu zaraz oddali portret.

Zważając, iż na całej wyspie nie istniała koza ani konstabel, turyści zamierzali oprzeć się wyrokowi sędziego; lecz wnet się przekonali, że cała ludność biała i czarna stanęłaby do egzekucyi wyroku. Oddali więc rysunek i zapłacili koszta procesu, które sądząc z pozorów — natychmiast zaniesiono na pokład Alice'y, po kwartę gorzałki. W pięć minut po dopełnieniu tej formalności przekonaliśmy się, że pan sędzia umiał trzymać swoich podwładnych w karbach, nawet bez kozy i konstabla. Para murzynów pobiła się poza jego plecami, wyrywając sobie kudły, tarzając się w kurzawie i gryząc się. Nikt nie wmieszał się do sprawy, oprócz pana sędziego. Ten podjął ciężką, dębową klepkę z rozbitej beczki i zaczął takową okładać łby murzyńskie, i to z całej siły. Ciosy te zagłuszyłyby białych ludzi, lecz wiadomą jest rzeczą, iż czaszki murzynów wytrzymują gromy potężne, nie czując ich dotkliwiej od ukąszeń komarów. Sędzia długo więc klepać musiał, zanim rozdzielił walczących.

Do obrazu pana sędziego w Chincoteague, dodać wypada, że tylko on, on pośród stałej tutejszej ludności — z jednym wyjątkiem o którym wspomnę w swoim czasie — posiadał i nosił buty.

On też przechowywał w swojej głowie ustawy i przepisy, jakie gmina ułożyła kiedykolwiek na wiecach, celem samorządu wyspy. Był on chodzącym kodeksem, tudzież wykonawcą kodeksu. Wyspiarzy tak mało obchodzą sprawy kontynentalne, że nie chcą nigdy brać udziału w wyborach i prawodawstwie Wirginii, lub mieć cokolwiek wspólnego z tym stanem. Corocznie powtarza się tu pocieszna scena, gdy władza stanowa egzekwuje podatki, których ludek ten w żaden sposób nie zapłaci dobrowolnie. Poborcy wirgińscy muszą tedy złapać własnoręcznie ilość kuców, których sprzedaż wystarcza na pokrycie pretensyi rządu do dziwacznej gminy. Topografia kraiku, dzikość koni i niedoświadczenie egzekutorów, bywają powodem przejść zabawnych, o których wyspiarze opowiadają z przekąsem przez rok cały do następnej egzekucyi. Pomimo tej nielojalności dla Wirginii, ludek ten poczuwa się do wspólności z wielką Rzeczypospolitą i niechybnie głosuje co lat 4 na prezydenta. Chciałby on odtworzyć stan odrębny i proponował nawet coś podobnego, bezwzględnie na śmieszność propozycyi.

Pan sędzia jest też i historykiem wyspy. Nie spisał on dotąd jej kroniki, chociaż umie pisać — rzecz nader rzadka w tem społeczeństwie. Nie wiem jaki przypadek nadarzył mu sposobność do nauki, lecz sądząc z primus i secundus które używał w trybunale, posiadał erudycyą niepospolitą. Chociaż jednak Chincoteague nie chlubi się kroniką pisaną, sędzia ma takową w gębie i powtarza ją chętnie. Z dziejów tych dwa wypadki wpoiły się w pamięć moją, jako charakteryzujące kraj i ludek.

Pierwsze zajmujące opowiadanie sędziego odnosiło się do strasznego zjawiska, które nawiedziło w r. 1821 nietylko tę wyspę, ale i sąsiednie pobrzeże. Coś podobnego doznały przed dwoma laty brzegi Teksasu, a w ostatniej tej katastrofie utonęło kilka tysięcy osób. Czy obie te klęski były skutkiem wyjątkowo silnego huraganu, czyli też trzęsienia ziemi i wulkanicznych wybuchów podmorskich, nie czytałem nigdzie. Z klęską w r. 1821 tak się rzecz miała, wedle opisu sędziego wyspy, który był już dorostkiem w dniu wypadku:

Na dobę przed burzą zaczęła się zbierać czarna chmura na południowo-wschodnim krańcu horyzontu. Przez noc całą nie zadrżał listek ani źdźbło trawy... cisza zupełna, równowaga śmierci zapanowała w atmosferze. Zenit przybrał barwę atramentu, a pomimo braku wiatru słyszano przeciągłe wycia, przelatujące w przerwach po nad morzem, jak

gdyby duchy niewidome śpiewały nad nim straszne pieśni. Czasem najwyższe igły na jodłach zadrgały, mewy szybujące nad wodą jękły... w górze zapewne przeciągnął powiew gorący, który nie dawał uczuć się na ziemi. Gdy mieszkańcy wyjrzeli o świcie z okien chat swoich, dostrzegli z zadziwieniem i zgrozą, że morze opuściło zatokę. Kędy wielkie okręta mogły żeglować wieczorem, a nawet daleko po za odnogą, gdzie zwykle zielony Atlantyk toczył straszne swoje bałwany, ujrzały rodziny mieszkające na wyspie (było ich tylko 28 w owym czasie) bezwodne dno morskie. Tak musiało wyglądać morze Czerwone (twierdził sędzia) gdy wody jego ustąpiły przed pochodem Izraelitów. Czyn Izraelitów naśladowali nawet niektórzy mieszkańcy wyspy, przechodząc z niej suchą nogą na Assateague. Wycie owe, słyszane w nocy w przestankach, ozwało się i trwało już bez przerwy; coraz głośniej i bliżej huczały żywioły, fala powietrza pędząc przed sobą powódź ulewy, uderzyła o chaty i lasy. Lepianki padały, wielkie jodły zgięły się w oka mgnieniu oddając pokłon burzy; drzewa zakorzenione w piaskach od wieków, olbrzymy lasów których gęstość powinnaby była służyć ku wzajemnej obronie, pękały z trzaskiem i jękiem, godnym istot żyjących. Huragan ciskał jedne i drugie nakształt słomek, obalając stojące olbrzymy temi, które już wykorzenił.

Nagle usłyszano ponad ryczenie burzy, szum i plusk ulewy, huk inny, straszniejszy. Wyniosła ściana wody ciemnej nakształt sepii podniosła się z łona morza, poza milami piasków i odsepów, odkrytych od rana. Fala ta przebyła ową przestrzeń lotem błyskawicy i zalała najpierw Assateague. Cały półwysep okrył się w mgnieniu oka bałwanami, a gdzie rosły lasy tam widziano tylko kłody i gałęzie wyrwanych jodeł, bujające po spienionem morzu. Fak tylko nie drgnął pod ciosem wody, bielejąc wspaniale po nad rozkiełznanemi falami. Powódź przebyła cieśninę pomiędzy półwyspem i wyspą, zatopiła bagniska nadbrzeżne i ogarnęła część mieszkań Chincoteague nieprzerwanem pasmem strasznych bałwanów. Szczątki domów, ludzi i konie spłukała ona z powierzchni nakształt owadów, unosząc ich w głąb wyspy pomiędzy drzewa niezłamane poprzednią burzą. Znów padały jodły, zabijając zwierzęta pasujące się pomiędzy niemi z topielą.

— Czy uwierzycie — dodał sędzia, wyjmując z ogromnej, bezzębnej gęby kawał przeżutej prymki wielkości orzecha włoskiego — czy wierzycie, że mnie samego uniosła ta fala sześć mil (ang.) od południa ku północy, a więc przez pół długości wyspy i zostawiła o 20 stóp po nad ziemią na złamanej gałęzi jodłowej? Zaczepiłem się o tę gałęź kaftanem, co zapewnie zbawiło mnie od spłukania w morze, gdyż fale zaczęły ustępować z lądu z równą gwałtownością, z jakową go zalały.

Nie wiem o ile ten ostatni dodatek zasługuje na wiarę. Jest to jednak rzeczą pewną, że ²/₃ pierwotnych mieszkańcow wyspy i połowę koni spłukało morze, oraz że fala mająca 20 lub 30 stóp wysokości przelała się przez niższą część wyspy. Wiele koni wydostało się na wyższe punkta, niektóre zaniosło morze na stały ląd, zwłoki utopionych znaleziono później w wielkiej odległości. Powódź ta straszna, której przyczyny nikt nie wyjaśnił, nie samą Chincoteague zatopiła, lecz wyrządziła ogromne szkody na wszystkich wyspach Wirginii i Karoliny.

Drugie opowiadanie sędziego odnosiło się do stosunku wyspy z rządem amerykańskim, podczas ostatniej wojny domowej. Tubylce nie sprzyjają Wirginii i jak już wspomniałem, swoje ostrygi, ryby i konie sprowadzają do New-Yorku i Filadelfii, więc interesa łączą ich z Północą. Wirginia była głową, ogniskiem, najzasobniejszym i najgorliwszym zwolennikiem powstania. Maleńka Chincoteague odważyła się nie podzielać zdania wielkiej Wirginii. W dniu wyznaczonym na powszechne głosowanie, ażali stan Wirginii przyłączy się do rokoszu, wyspiarze zeszli się w domu sędziego, gdzie z wyjątkiem jednego wszyscy oświadczyli się za Północą i lojalnością dla Rzeczypospolitej.

— Ten jeden — mówił sędzia, pakując tym razem łut tytuniu do ust i patrząc mi bystro w oczy, zapewnie aby zmusić mnie do uwierzenia w fakt opowiedziany — ten jeden nazywał się Hill. On, mój panie, włożył kartkę do urny, za połączeniem się z rebel'ami (rokoszanami), a nazajutrz nie żył...

Sędzia nie wyjaśnił nam, ażali zgon Hill'a odbył się w sposób naturalny. Podejrzywano więc, że albo sędzia, albo inny lojalny wyspiarz skręcili kark buntowniczemu Hill'owi. Oprócz tej osoby nikt nie zginął na wyspie z ręki zabójcy, od czasu jej zaludnienia do dnia dzisiejszego. Tubylce nie posiadają energii do takich rzeczy.

Po oświadczeniu się za Północą sporządzili wyspiarze z młodych sosienek żerdź, mającą 120 stóp wysokości. Na niej zatknęli chorągiew Stryja Sama, w pręgi i gwiazdy, nie bacząc na groźby Wirgińczyków. Niejaki pan Whealton stał dniem i nocą pod żerdzią, z bronią nabitą, nie pozwalając zedrzeć chorągwi, pomimo że rząd wirgiński przysłał patrol w tym celu. Buntownicza ludność na stałym lądzie zebrała się wreszcie w celu skarcenia wyspiarzy; leniwy i bezbronny prawie ludek zebrał się jednak tłumnie i odparł najazd liczniejszych i lepiej uzbrojonych Wirgińczyków. Rząd południowy nie miał na razie sposobności skarcić krnąbrną gminę, lecz rozkazał blokować ją. Był to nowy sposób kontynentalnej blokady. Żadna łódź nie chciała opuścić stałego lądu z żywnością dla wyspiarzy „o którą nie tyle nam chodziło — zapewniał sędzia — jak o tytuń i whisky. Pan Whealton miał trochę kukurydzy w śpichrzu, ostryg, ryb i końskiego mięsa nie zbywało, ale whisky i tytuniu nie mieliśmy na wyspie.“

Aby otrzymać te pożądane przedmioty zbudowano kilka łodzi. Napełniono je ostrygami i posłano na targ do Filadelfii. Wirgińczycy posiadali bateryą na półwyspie Assateague i zatopili te łodzie z rzędu, oprócz jednej, na której sam p. Whealton dowiózł ostrygi do kraju Yankesów. Sprzedał on takowe i powrócił wbrew wirgińskiej bateryi z niezbędnemi potrzebami dla żujących i pijących wyspiarzy. Prymka i butelki znalazły bohatera, który gotów był za nie życiem zapłacić.

Pierwszy transport nie wystarczył na długo wyspiarzom, gdy zaś dowóz wódki i prymki pod ogniem armatnim przedstawiał pewne trudności, p. Whealton przełamał blokadę po raz wtóry i popłynął do Baltimory; ztamtąd zaś udał się do Washington'u, jako deputowany wyspy, celem zaskarbienia współczucia i pomocy prezydenta. Lincoln, humorysta z natury, wysłuchał z uśmiechem opowiadanie posła o dowodach lojalności i męztwa, złożonych przez ludek, o którego istnieniu nigdy dotąd nie słyszał. Cały Waszyngton, wszystkie gazety północne, rozprawiały o gminie wirgińskiej, złożonej z największych leniuchów na kuli ziemskiej lecz opierającej się w patryotycznym zapale sile Południa i łamiącej blokadę dla dostania wódki. Pomimo że położenie i znaczenie wysepki nie zasługiwały na uwagę i pomoc, posłano wojenny parowiec na jej obronę. W cieniu komina tej korwety spożywali wyspiarze bezpiecznie dary gorzelni. Za tę opiekę tak skuteczną, odwdzięczyli się wysłaniem najlepszych swoich kuców do armii Stryja Sama.

— Pan Whealton otrzymał stopień majora w milicyi za swoje poświęcenie... ciągnął dalej sędzia.

— Pan Whealton, pan Whealton, nic tylko pan Whealton — przerwał jeden z nas. Któż to taki?

— Jest to „gentleman!“ rzekł sędzia, z wielkim naciskiem na ostatniem słowie.

— Wszyscyśmy gentlemani w Ameryce. Jeden drugiemu równy.

— Ale nie wszyscy równi panu Whealton.

— Co on robi?

— Nic nie robi, tu wszyscy nic nie robimy.

— Z czegóż żyje? czy i on ma prawo do przychowku końskiego?

— Nie mój panie, ale on ma fermę na której murzyni pracują czasem. Leży ona na wysepce, którą podczas przypływu morza oddziela od naszej wyspy cieśnina kilkusążniowa. Podczas odpływu ferma jego i nasz „kraj“ tworzą całość. Wyspę tę uważaliśmy dawniej za bagno nieużyteczne, więc pozwoliliśmy zająć ją osobie nienależącej do gminy. Pan Whealton osiadł na niej, osuszył ją, ogrodził aby nasze konie nie mogły się dostać na nią, dom na niej wymurował i zorał część jej. Z początku protestowaliśmy. Kto słyszał o domu pańskim i oraniu na Chincoteague. Omal nie wypędziśmy go z wyspy, ale po namyśle zostawiliśmy go na niej, uważając ją za kraj odrębny od naszego... podczas przypływu morza przynajmniej. Nie mógł on nam zepsuć reputacyi swojem oraniem. Potem przyszła wojna, od tego czasu nie wypuścilibyśmy pana Whealton'a, chociażby pragnął odpłynąć.

— Jest on więc rodzajem magnata, który osiadł pomiędzy wami?

— Ma domy i rozmaite rzeczy na Północy, w kraju Yankesów. Jednakże woli mieszkać z nami. Żyje prawie tak jak my, pomimo że własny statek przywozi mu rozmaite rzeczy z miasta.

— Rodzaj dziwaka, co?

— Trochę dziwny... mówią, że się kochał za młodu, a miłość nie dopisała, więc został pustelnikiem. Nikt z nim nie mieszka. Trzyma psów, koni i drobiu co niemiara i najmuje murzynów, aby tyle kukurydzy uprawiali na jego wyspie, ile konie zjadają.

Nazajutrz po tej rozmowie postanowiliśmy poznać pana Whealton. W tym celu namówiliśmy jednego z rybaków, aby łódź nam odnajął. Właściciel tej łodzi, długa laskonoga figura, nie ważąca prawdopodobnie 10 funtów więcej niż własny jego szkielet ważyłby po zupełnem wysuszeniu, długo wahał się ażali łodzi nam pożyczy. On, na wzór ziomków swoich, nie cenił pieniędzy. Twarz jego wychudła, blada, o jagodach wyskakujących i nosie nakształt wędki którą trzymał w palcach, nie ożywiła się na widok dolara. Wyrodny ten Amerykanin chodził boso; odzież jego połataną, białą, w błękitne paski, pstrzyło tyleż łat różnej barwy, że przypominała pstrą szatę Jakóba; przez dziury w kapeluszu wymykały się włosy niestrzyżone i nieczesane od dawna, w kaftanie i koszuli brakowało guzików, więc ogorzała i kudłata pierś znosiła słońce i wiatr zimny. Pomimo tych dowodów ubóztwa niechętnie przyjął zarobek. Nakształt sąsiadów swoich, czuł on widocznie wstręt do rzeczy najdroższej ludziom ucywilizowanym i barbarzyńcom... do pieniędzy. Jest to cecha oryginalna i dziwna, wspólna mieszkańcom tego nędznego kraiku przez 51 tygodni w roku.

Żegluga nasza do wyspy p. Whealton'a odbyła się bez przygody; niestety, nie mogliśmy na niej wylądować. Najpierw psy nas opadły, później sam właściciel wyszedł z domu, który wyglądał nakształt małego pałacu, i był widocznie zbudowany, aby ostać się przeciw bałwanom uderzającym o niego w czasie burzy. Właściciel tej dziwnej budowli zbył nas

cierpko, oświadczył że nie przyjmuje gości i kazał czemprędzej opuścić swoją dziedzinę. Zadziwieni taką niegościnnością, wsiedliśmy napowrót do łodzi i zwrócili jej dziób w kierunku wielkiej wyspy. W podróży tej napadł nas wściekły wiatr i rzęsista ulewa. Zdawało się że śluzy niebieskie się otworzyły i że piekło wyrzucało wszystkie swoje ognie, w postaci błyskawic. Zatoka zmieniła się w oka mgnieniu w rodzaj ogromnego wrzącego kotła. Z całą moją znajomością żeglugi i z wysileniem sił wszystkich nas, niełatwo dobiliśmy do maleńkiej odnogi wciskającej się w ląd wyspy. Przywiązawszy łódź do kołków, na których wisiała stara i dziurawa sieć rybacka, pobiegliśmy do chaty, szarzejącej nad brzegiem strumyka, łączącego morze z moczarami na wyspie.

Domek ten składał się z mieszaniny kłód, gontów starych, płat blachy, płótna i rozmaitych innych materyałów. Był to typ chaty wolnego „brata i obywatela kolorowej maści", jak nazywamy grzecznie murzyna amerykańskiego. Przy domku stał komin z cegieł niewypalonych, który niegdyś godził prosto w zenit, lecz obecnie naśladował wieżę pizańską. Cud ten architektoniczny zwrócił naszą uwagę wbrew burzy i pospiechu do ognia i przytułku. Do dziś nie mogę sobie zdać rachunku, co podtrzymywało ten komin — chyba że był podparty drągami ze strony odwróconej od nas. Zapewnie cała chata opierała się na podporach.

(*d. n*).

Przegląd literacki.

Ateneum i Biblioteka Warszawska za styczeń, luty i marzec 1877.

(Dokończenie).

Teraz przejdziemy do *artykułów literackich*, prac odnoszących się do dziejów oświaty, literatury i rozwoju mowy krajowej.

Do tego działu w Ateneum zaliczamy bardzo zajmującą pracę p. Malinowskiego p. t. „Zarysy życia ludowego na Szlązku." Autor zwiedził przed kilkoma laty znaczną część Szlązka pruskiego i austryackiego i podaje wyniki swoich spostrzeżeń, tyczące się obyczajów, pojęć i języka ludności polskiej w tym kraju. Stosunki kościelne, szkolne i zapatrywanie się rządu pruskiego na narodowość słowiańską przedstawione tu na podstawie danych poprzedzających epokę praw majowych i kulturkampfu: wielka szkoda, że autor nie postarał się o dane teraźniejsze i nie zestawił ich z zarysami poprzedniej epoki. Co do mowy polskiej na Szlązku, niezupełnie zgadzamy się z autorem, który dowodzi że jest ona zupełnie czystą, wolną od germanizmów, co mają popierać zebrane przez autora pieśni i podania. W tym przedmiocie autor nawet sam sobie czasem przeczy, gdy mówi o wielkiem mnóstwie dyalektów na Szlązku: żyjący bowiem i czysty język polski dyalektów nie posiada, owe zaś szlązkie są to właśnie chorobliwe mięszaniny polsko-niemieckie, oczywiście nie mające przed sobą przyszłości i skazane na zagładę, tembardziej że przy teraźniejszem postępowaniu władz pruskich, przystęp czystej książkowej polszczyzny, która mogłaby uszlachetnić te gwary albo raczej zastąpić ich miejsce, prawie zupełnie zatamowany. Zresztą sam autor przytacza skażone germanizmami wyrażenia Szlązaków, a pieśni i podania, jako pochodzące z czasów dawnych, nie dowodzą obecnej czystości języka. Co jest jednak najsmutniejszem i skutecznie wspiera wymienione powyżej okoliczności, dążące do zupełnej germanizacyi Szlązka, to że sami Szlązacy wstydzą się swojej mowy i uważają język niemiecki za nieodłączny objaw cywilizacyi: według ich przekonania, tylko chłopom pomiędzy sobą uchodzi mówić po polsku; do ludzi zaś klasy wyższej, choćby Polaków, usiłują mówić po niemiecku (*). Autor przytacza, że kobiety wiejskie przepraszały go za to, że nie umieją po niemiecku, a chłopi niezmiernie się dziwili, słysząc od jednego z rzemieślników, który bywał w Warszawie, że w tem mieście nawet ludzie bogaci i porządnie ubrani mówią między sobą po polsku! W obecności autora jeden z włościan zaniósł do sądu skargę na sąsiada za to, że ten go nazwał „Polakiem;" autor tłomaczy ten dziwny fakt tą okolicznością, że mieszkańcy sąsiednich z Szlązkiem okolic Królestwa Polskiego nie używają zbyt dobrej opinii u Szlązaków. W Bibliotece Warszawskiej do tego działu zaliczamy zajmującą pracę „O bibliotekach w Polsce" przez J. T. L. (zeszyt styczniowy). Jest to uzupełnienie książki pod tym samym tytułem, wydanej przez p. Radziszewskiego. Znajdujemy tu ciekawe szczegóły o bibliotekach Zygmunta Augusta, Jana III, Załuskich, znaczniejszych prywatnych i klasztornych. Jaką rzadkością były książki rękopiśmienne w Polsce przed wynalezieniem druku, widać z tego, że aż do końca XV wieku niemasz w źródłach historycznych śladu, ażeby kto ze szlachty posiadał książki. Po zgonie jednego księdza pozostały trzy książki, o które walczyli spadkobiercy, uciekając się nawet do zbrojnego najazdu. O pożyczoną i nieoddaną jedną książkę toczono nawet kosztowne procesa. Do szczegółów bibliograficznych autor artykułu dodaje niekiedy uwagi historyczne i filozoficzne, a czasem domysły trochę dziwne np. z tej okoliczności, że w bibliotece Sobieskiego znajdowało się dzieło „O stosownym wyborze stolicy," autor wnosi że Jan III zamierzał przenieść stolicę z Warszawy do Gdańska (str 44).

Do tej samej gałęzi rachujemy umieszczony w tym samym zeszycie wyjątek z pamiętników Fryderyka Skarbka, a to dla zawartych tam wiadomości o urządzeniu i składzie królewskiego uniwersytetu warszawskiego (1817—1830). Należą tu dalej: „Listy Tadeusza Bułharyna do J. Lelewela (1821—1830" wydrukowane w zeszycie lutowym. Bułharyn, Litwin z pochodzenia i dawny wojskowy polski, zyskał pewną wziętość w literaturze rossyjskiej, jako redaktor kilku czasopism i autor powieści „Dymitr Samozwaniec" i „Jan Wyżygin" (znanych i w polskim przekładzie). Pisywał do Lelewela, prosząc go o krytykę „Historyi Państwa Rossyjskiego" Karamzyna; drukował ją, choć niedokończoną, w swojem czasopiśmie i donosił Lelewelowi, że praca jego była w Petersburgu z wielkim zapałem przyjętą.

Nakoniec do tego samego działu bylibyśmy zaliczyli utwór „August Bielowski" pióra p. E. Świeżawskiego (zeszyty styczn. i marcowy), gdyby... się dało. Jest tô bowiem utwór tego rodzaju, że daleko trudniej powiedzieć, co się tam zawiera niźli czego tam niema. Jest tu bowiem wszystkiego po trosze: i filozofii i oryginalnej wrzekomo krytyki historycznej i estetycznej i dziecinnych kalemburów (np. pseudonim Czarnockiego „Zoryan Dołęga Chodakowski" uczony autor tłómaczy tem, że ten badacz widział w chodaczkach brzask „dołężniejszej zorzy" (Styczeń str. 5); a to wszystko wypowiedziane stylem ciężkim i zawiłym, pełnym niepoprawności i sfinksowych zagadek, dowodzącym uporczywej walki, staczanej przez autora z nieposłusznym jego myślom językiem. Na poparcie naszego zdania przytoczymy tu kilka dziwacznych poglądów autora. Karpiński, znany śpiewak „Justyny," opowiada w swoich pamiętnikach, że w czasie jego chrzcin napadł na dom rodzicielski znany wówczas opryszek Dobosz. Ztąd p. Świeżawski bierze asumpt do głębokich i ciemnych poglądów na wpływ Dobosza na poezyą Karpińskiego (!), w tych np. wyrazach: „Karpiński, nad którego kolebką najdotykalniej *cywilizacya* ludowa grozę swą rozwinęła w osobie *bohatera*-opryszka Dobosza, Karpiński, który już w kolebce romantyczniejszych wypadków przeżyć nie mógł i t. d. (Styczeń str. 3). Pomijając już epitet bohatera, dany rozbójnikowi, dowiadujemy się że rozbójnicy są wyrazicielami *cywilizacyi* ludowej; czego to zaś Karpiński w kolebce przeżyć nie mógł nie dowiadujemy się wcale. Dalej i Czarnockiego czyni autor „synem Dobosza" to jest zapewne synem z ducha! (str. 4), a o tymże Czarnockim powiada, że „rzucił on klątwę na katolicko-łacińską (?) literaturę Polski szlacheckiej" a mianowicie przybraniem pseudonimu, którego głębokie znaczenie powyżej podaliśmy. Stosunek Bielowskiego do historyi krajowej autor porównywa ze stosunkiem Orfeusza do Eurydyki, co możnaby jeszcze rozumieć w tym sensie, że historyk-poeta chciał wskrzesić przeszłość historyczną, jak bajeczny Orfeusz swoją Eurydykę, ale już zgoła niepodobna pojąć dalszego wątku porównania, gdzie „szał rozbujałego materyalizmu w postaci trackich bachantek rozszarpał Orfeusza," a bachantka przemienia się „w Molocha, w zimną krytykę, w rozum chłopski" (Marzec str. 345). W Bartoszewiczu widzi autor „filozoficzność iście polską *z odcieniem Wazów* (? tamże str. 375) i t. p. W tym pseudo-erudycyjnym chaosie wyszukanych porównań i szerokiej encyklopedyczności, nie mogliśmy zrozumieć, co właściwie ściąga się do Bielowskiego i jak go autor ocenia. Błędów językowych takich jak *zawzina się* (Styczeń str. 5), szkół *poeto*-historycznych (Marzec str. 343), *obrysom* (tamże); *bez mała* (tamże str. 345), — niezliczone mnóstwo: a oto próbka frazeologii autora: „U narodów, które czynem żyły, *czynem* nieraz *prędszym* od *myśli*, choć bijącym w takt uczuciu (? Marzec str. 344)." Gdybyśmy chcieli przytaczać próbki dziwacznych i zawiłych okresów, musielibyśmy wypisać połowę artykułu. Ostatecznie, kto zdobędzie się na bohaterstwo, ażeby odczytać cały ten artykuł (a rzecz to niełatwa), ten dostanie tylko zawrotu głowy, spaczy swój bieg myśli i może zepsuć swój język. O ile wiemy, autor tych osobliwszych wypracowań umieszczał dawniej swoje sfinksowe łamigłówki w Niwie; teraz zaś z prawdziwym smutkiem widzimy podobne elukubracye na kartach Biblioteki.

Dział historyi, etnografii i literatury cudzoziemskiej przedstawiają w Ateneum praca Jeża „Słowiańszczyzna południowa" (zeszyt marcowy), a w Bibliotece Warszawskiej — „Literatura niemiecka" p. Jezierskiego (Styczeń) i „Podróż naokoło ziemi sprawozdanie z odczytów d-ra Syrskiego, mianych we Lwowie" (Luty i Marzec). W pierwszym z wymienionych artykułów znany powieściopisarz i podróżnik podaje wiele szczegółów o Turcyi, z własnych spostrzeżeń zaczerpniętych. Artykuł p. Jezierskiego o literaturze niemieckiej dotyczy zarazem i polskiej, traktuje bowiem o niemieckich przekładach utworów naszej literatury, dokonanych przez p. Niczmana, ze znajomością rzeczy, świetnie i wzorowo (Ausgewählte Dichtungen der Polen uebersetzt v. H. Nitschmann Leipzig 1875). Pan Jezierski przekłada tłumaczenia niemieckie Niczmana odwrotnie na język polski prozą i podaje takie prób-

(*) Tu przypominam sobie że na Szlązku austryackim słyszałem jak nauczyciel szkólki, wykładający po polsku, w domu używał tylko języka niemieckiego.

ki prozaicznego przekładu z przekładów Kochanowskiego, Malczewskiego i Mickiewicza, co zdaniem naszem, wygląda tylko na czczą zabawkę, gdyż oczywiście miary wartości przekładu i to jeszcze poetyckiego takie próbki dać nie mogą. Nie zgodzilibyśmy się także na nieznany wyraz *marzytelność* (Styczeń str. 58).

Streszczenie odczytów p. Syrskiego dokonane dość chaotycznie, z nieproporcyonalną rozwlekłością niektórych części; zawiera jednak wiele bardzo ciekawych spostrzeżeń, przeważnie z dziedziny geologii, geografii fizycznej i nauk przyrodniczych, ale także etnograficznych i obyczajowych. Zasługuje na uwagę, że autor nie zgadza się z powszechnie przyjętą hypotezą o roztopionem jądrze ziemi i o wulkanach, jako kominach tego strasznego wewnętrznego pieca: zwraca bowiem uwagę, że bynajmniej nie jest rzeczą dowiedzioną, że wszędzie w głąb ziemi powiększa się jej temperatura; powiada owszem, że w wielu miejscach w miarę zagłębienia się, coraz to zimniej. Mniema więc autor, że działalność wulkanów i trzęsienia ziemi pochodzą raczej wskutek wpływów wody morskiej, która przesiąkając do głębi ziemi, sprawia tam silne procesa chemiczne i wytwarza lawę wulkanów, a także sprawia wydrążenia i zapadanie się ziemi w jej wnętrzu, zkąd pochodzą trzęsienia ziemi. Tak więc autor nie zgadza się z poglądem *plutonistów* czyli zwolenników działań ognistych i przechyla się raczej ku *neptunistom* stronnikom wpływów wody. Język sprawozdawcy często szwankuje: tak np. wszędzie pisze *okręta* zam. *okręty* i dopuszcza się nadto wielu germanizmów jak używanie 4 przyp. przy słowach z przeczeniem i t. p.

Do działu umiejętności społecznych zaliczamy w Ateneum pracę o konstytucyi tureckiej (Luty) p. Burzyńskiego, rzecz „O wielkiej i małej własności" p. Łapickiego (Marzec), a w Bibliotece Warszawskiej — artykuł p. Wrotnowskiego „Drogi żelazne w Królestwie Polskiem (Luty i Marzec). Co do tych artykułów, poprzestaniemy na prostej wzmiance, również jak i co do pracy prawniczej „O datach nadawanych statutom Kazimierza W. przez p. Hubego" (Bibliot. Warsz. Luty)."

Dział wiadomości przyrodniczych i biologii przedstawiają w Ateneum „Kroniki naukowe", miesięczne, pióra p. Rejchmana i zajmująca praca d-ra Szyszły „O długowieczności człowieka" (zeszyt styczniowy). Z tej ostatniej skorzystano nieco do artykułów wstępnych naszego Tygodnika (Kwestye i Sprawy III w N. 15) i dlatego nie będziemy tu o niej mówili szczegółowo. W Bibliotece Warszawskiej p. Skomorowski umieszcza od czasu do czasu wiadomości przyrodnicze, ale, o ile sądzić możemy, obracające się w jednem kółku niewielu kwestyi, oddawna już dostatecznie ogadanych: tak np. artykuł tego autora „Z dziedziny przyrodoznawstwa" (styczniowy zeszyt Biblioteki) poświęcony jeszcze zawsze kwestyi samorodztwa i heterogenezy, tyle już razy przez tegoż samego literata i przez innych roztrząsanej. Kronika Paryzka, jak zwykle, pełną jest rozmaitych zajmujących wiadomości z różnych gałęzi duchowego, umysłowego i artystycznego rozwoju Francyi.

Jako odpowiedni dział „Kronice Paryzkiej" Ateneum zaprowadziło w końcu r. z. „Korespondencyą z Paryża," podającą od czasu do czasu sprawozdanie o ruchu umysłowym, literackim i artystycznym we Francyi, choć nie tak różnobarwne. Dogadzając panującemu smakowi, który sprawia niestety, że pismo nie dające powieści, nie może rachować na pożyteczność, tak Ateneum jak i Biblioteka zaopatrzyły się w powieści: w pierwszem mamy tłomaczenie powieści angielskiej Wiliama Blacka p. n. „Postrzelona," a w drugiej powieść Zacharyasiewicza „Prawo bezprawia." O obydwóch tych powieściach wypowiemy stanowcze zdanie po ich ukończeniu; tymczasem zaś musimy to tylko powiedzieć, że powieść angielska bez porównania wyżej stoi pod względem artystycznym i bardziej jest zajmującą niż ostatnia powieść Zacharyasiewicza. Pisarz ten niegdyś okazał sporo talentu, ale od niejakiego czasu zdradza niesłychane ubóstwo pomysłów, nudne i monotonne dyalogowanie i, co najgorsza, pisze bardzo skażonym językiem. Spotkania w podróży koleją żelazną stały się ulubionemi p. Zacharyasiewiczowi tematami, a wagonowe znajomości i matrymonialne zabiegi z akompaniamentem świstu lokomotywy — jedyną prawie treścią ubogich w pomysły jego utworów. Tak i w „Prawie bezprawia" punktem wyjścia jest podróż koleją ojca z córką, której, dla łatwiejszego zawiązania miłosnej intrygi i prędszego wydania się za mąż, rozkazuje uchodzić za swoją żonę, prześladowaną przez starego i zazdrosnego męża. Sążniste rozmowy wagonowych towarzyszów bardzo są nudne, a z niezliczonego mnóstwa błędów językowych, stylowych i logicznych, dla przykładu przytoczymy niektóre. Tak w zeszycie lutowym czytamy: „pan Marek miał na sobie szaraczkową kapotę, buty juchtowe i *wąs siwy* równo podstrzyżony" (str. 181 a więc *wąs* należy do ubioru i p. Marek miał go *na sobie*); „z pewnej *nawyczki*" (tamże str. 182); „zupełnie inaczej *jak* w domu" (tamże str. 183); „*gdzież* (zam. *dokąd*) chcesz jechać" (tamże str. 185); „*popaść* w tak ohydną pułapkę" (tamże str. 191); stróż „*kolejny*" (zam. *kolejowy*); „*wysiaduje* z wagonu" i „*gdzie* rzeczy *zanosił*" (wszystko w zeszycie marcowym str. 339), „*wywięzywały* się" (tamże str. 341) i t. p. Wiemy dobrze, że nieustanne nasze wołanie o czystość języka pozostawało dotąd i zapewne nadal pozostanie głosem wołającego na puszczy; pomimo to raz jeszcze nie możemy nie zwrócić uwagi na małą w tym przedmiocie dbałość ze strony redakcyi Biblioteki. Rozumiemy, jeżeli ktoś żąda zachowania w druku niektórych cech ortografii, w punktach oczywiście spornych i nierozstrzygniętych, ale czci dla błędów nie pojmujemy: redakcya, zdaniem naszem, jeśli nie prostuje języka i stylu swoich współpracowników, tem samem bierze na siebie odpowiedzialność za formę, jak i za treść artykułów swego pisma, a czytelnicy mogą wnieść że przestrzegać czystości języka nie umie, albo też, a nie będzie to wcale lżejszym zarzutem, że nie chce.

Dział krytyczny, w ogóle w piśmiennictwie naszem peryodycznem bardzo zaniedbany, został od nowego roku, nieco wzmocniony w obydwu pismach. Wszelako recenzye w Bibliotece umieszczane są dość powierzchownem streszczeniem albo krótką wzmianką. I w tym dziale spotykamy się z piórem p. Świeżawskiego, wraz ze wszystkiemi wyżej wzmiankowanemi cechami tego pióra: ciemną erudycyą i dziwacznym, pełnym błędów językowych stylem. W recenzyi np. dzieła Lewickiego o Wratysławie II czeskim, pan S. ostentacyjnie upiera się, że Bolesława II nie należy mianować Śmiałym, lecz Szczodrym i napomyka, jakoby tenże król był obrońcą pogaństwa w Polsce: bezzasadną tę hypotezę pan S. wypowiedział i w wydanych przez siebie kilka lat temu „Zarysach badań krytycznych," o których gruntowny znawca historyi polskiej prof. Zeissberg wyraża się, jako o pozbawionych wszelkiej wartości (Zeissberg Dziejopisarstwo polskie wieków średnich w przekładzie A. Pawińskiego tom I. str 20).

Pominęliśmy w niniejszem zestawieniu kilka prac podrzędniejszych i okolicznościowych. Wszelako o jednej z tych ostatnich musimy wspomnieć, a mianowicie o sprawozdaniu z broszury d-ra Liskego, wydanej po niemiecku i wystosowanej do uczonych niemieckich, którzy domagali się zniesienia uniwersytetu lwowskiego (zeszyt lutowy). Tu jeszcze raz musimy spotkać się z nazwiskiem p. Świeżawskiego, gdyż to sprawozdanie jest także jego pióra, ale jest zupełnie błędnem: co spowodowało nawet list p. Liskiego do redakcyi Biblioteki, wydrukowany w zeszycie marcowym. W tym liście p. Liske wykazuje główniejsze błędy sprawozdania i tłómaczy je tą okolicznością, że p. Świeżawski podjął się sprawozdania o dziełku niemieckiem, nie umiejąc sam po niemiecku. Trochę to zabawne i na przyszłość wypada życzyć aby sprawozdania z utworów niemieckich pisywał do Biblioteki ktoś znający ten język.

Zamykając niniejsze porównawcze sprawozdanie, widzimy że w obu poważniejszych czasopismach naszych nie brak rozmaitości przedmiotów i prac niepozbawionych wartości: pod względem rozmaitości komplet kwartalny Biblioteki może nawet i przewyższa odpowiedni tom Ateneum, ale z niniejszego rozbioru jest rzeczą widoczną, że niemożna powiedzieć tego samego o stosunkowej wartości. Ateneum od nowego roku weszło niewątpliwie na drogę korzystniejszego niż w roku zeszłym rozwoju i usiłuje stać się pismem poważnem i żywotnem.

L. S. W.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pannie Marylli Z. w Logicznie. Do dawnej przesyłki należało się nam dopłaty kop. 20. Za ostatnią kop. 95 licząc opakowanie i porto, razem więc należy się rs. 1 kop. 14.

Pani Józefinie B. w Popòwce. Do paletota dołożyliśmy rs. 1, koszta zaś komisowego, opakowania i porto przeniosły o 24 kop. przeznaczone na ten wydatek rs. 2. Zatem dołożyliśmy rs. 1 kop. 24.

Panu Dr. C. w Lipowcu. Na letnie ubranie dla czteroletniego chłopczyka wyborne są: pika biała i gruba dyma tak biała jak i szara — płótno niebielone. Garniturek taki wynosi od rs. 5 do 15, kapelusik zaś ryżowy rs. 2, słomkowy od rs. 1 kop. 20.

Pani Maryi Z. w Płurgianach. Paletoty damskie z syberyny są w różnej cenie. Zależy to od ich długości, kroju, gatunku materyału i przyboru. Kosztują mniej więcej od rs. 10 do 50 i wyższych cen nawet. Obecnie syberyna matelassé najwięcej używana — może być bardzo cienka i przeciwnie. Paletocik, o jaki byliśmy zapytani, kosztowałby najmniej od rs. 15 do 25.

Pani Wilhelminie P. w Lisowiczu. Za serdeczny list stokrotne podziękowanie. Obszerna odpowiedź na zapytania jak również paka od Hosera zapewne już odebrane zostały.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytam.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 12 (24) Мая 1877 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Dodatek.



i podług 7 lub 8 w N. bieżącym. W środku nad szlakiem w miejsce wskazanego rysunku można dać monogram ozdobiony arabeską lub wieńcem. Frendzlę siepaną albo przyrabianą, odrabia się podług próbki ryc. 7 lub 8; do siepanej przyrabia się nitki kolorowe. Na każden skręcony promień, potrzeba dwa promyki po nitek 5, liczba więc nitek siepanych jest niedostateczną, a zatem do promieni środkowych dwukolorowych, dodaje się oprócz niebieskich, 4 nitki białe. Siedm promieni związuje się na jeden kwast, dając zawsze na brzegi skręty białe.



N. 1. Kapelusz z kolorowej słomki z okrągłą główką.



N. 7. Chustka jedwabna z koronką, jako zarzutka na głowę

Opis do N. 20.

(dalszy ciąg).

N. 6—8 i 17 w N. 21. Serweta na szafkę bufetową. Wyszycie krzyżykowe na cienkiej płóciennej kanwie.



N. 5. Fason kapotki z czarnego bastu.

Tło serwety stanowi cienka kanwa płócienna, na której robota idzie pośpiesznie; próbki naturalnej wielkości, podajemy na ryc. 7—8. Haft krzyżykowy kolorem niebieskim, odrabia się podług ryc. 17 w N. 21



N. 9—10. Sukienki princesse dla małych dziewczynek.



N. 6. Fason z rondem wyginanem, z białego bastu.

N. 8. Chustka jedwabna oszyta koronką związana jak krawatka. Patrz ryc. 7.

N. 10 i 30 w N. 21. Ręcznik z wyszyciem kolorowem kratką ażurową i koronką.

Ma 210 cent. długości a 44 szerokości. Deseń i sposób wyszycia kolorowego oraz kratkę, podajemy w naturalnej wielkości na ryc. 30 w N-rze 21. Na kratkę ażurową 20½ cent. szeroką wyciąga się 8 nitek w podłuż i w poprzek, i pozostawia 8 nitek w kwadrat na matowe kwadraciki. U dołu zostaje pasek płótna 1½ cent. szeroki, który obrąbia się wązko i oszywa koronką mocną nicianą, 7 cent. szeroką.



N. 11. Chustka robiona na drutach zarzucona nakształt mantyli. Patrz ryc. 12.



N. 2. Kapelusz pleciony z łyczka.



N. 3. Kapelusz z główką spiczastą.



N. 4. Kapelusz z wysoką prostą główką.

N. 9. Serweta do kawy lub herbaty, z pasami i napisami kolorowemi, fabrycznie tkanemi.

Za granicą dostać można serwet różnej wielkości z pasami w kolorze niebieskim i ponsowym i z kolorowemi napisami, zawierającemi różne zdania lub przysłowia; rycina 9 załącza właśnie taki model.



N. 12. Chustka robiona na drutach. Patrz ryc. 11 i 13—14.

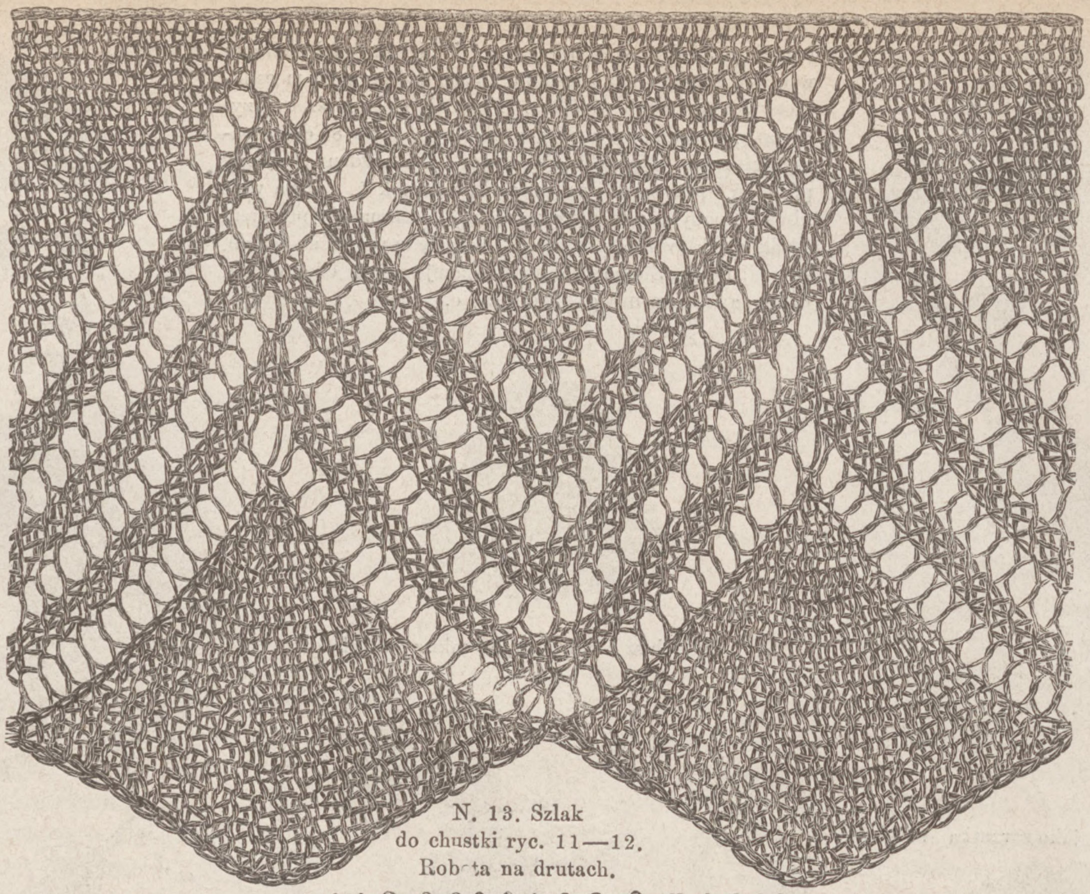
N. 11 i ryc. 24 w N. 21. Ręcznik z kolorowemi paskami i wyszyciem krzyżykowem.

Biały płócienny ręcznik, oprócz szlaku kolorowego, wyszytego krzyżykami, bawełną pon-

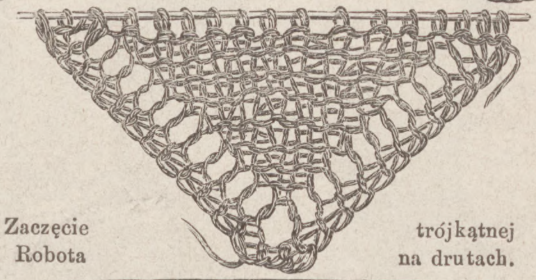


N. 15. Tło robione na drutach, na chustki włóczkowe.

sową lub niebieską, albo dwoma kolorami, ozdobiony jest paskami płótna kolorowego, 4 — 5 cent. szerokiemi, wąziutko obrąbionemi i delikatnie do tła i pasków białych przyszytemi; paski te powinny być tego co haft koloru, przy dwukolorowym pasek dolny daje się szafirowy a szlak nad nim ponsowy, górny ponsowy a szlak szafirowy. Ryc. 24 przedstawia trochę zmniejszony szlak węższy mający 5 1/2 cent. szerokości.



N. 13. Szlak do chustki ryc. 11—12. Robota na drutach.



N. 14. Zaczęcie trójkątnej chustki. Robota na drutach.



N. 17. Szydełko do roboty tła ryc. 16.

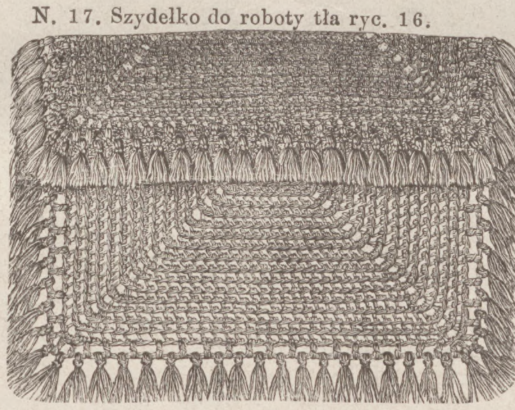
N. 12—24. Robota siatkowa do chusteczki do nosa, serwetki lub t. p. Cerowanie zwane *filet antique*. Materyał: Nici konopne N. 60 i 80, nici grubsze płaskie do wywodzenia.

Ryc. 24 przedstawia w naturalnej wielkości szlak do chusteczki batystowej z siatki zwanej *filet antique*, zakończonej w zęby z dziurkami, która pięknością dorównywa drogiej koronce. Rodzaj cerowania i wywodzenia dokładnie wskazuje ryc. 24, dodamy tylko że siatkę robi się z nici N. 60 a do cerowania

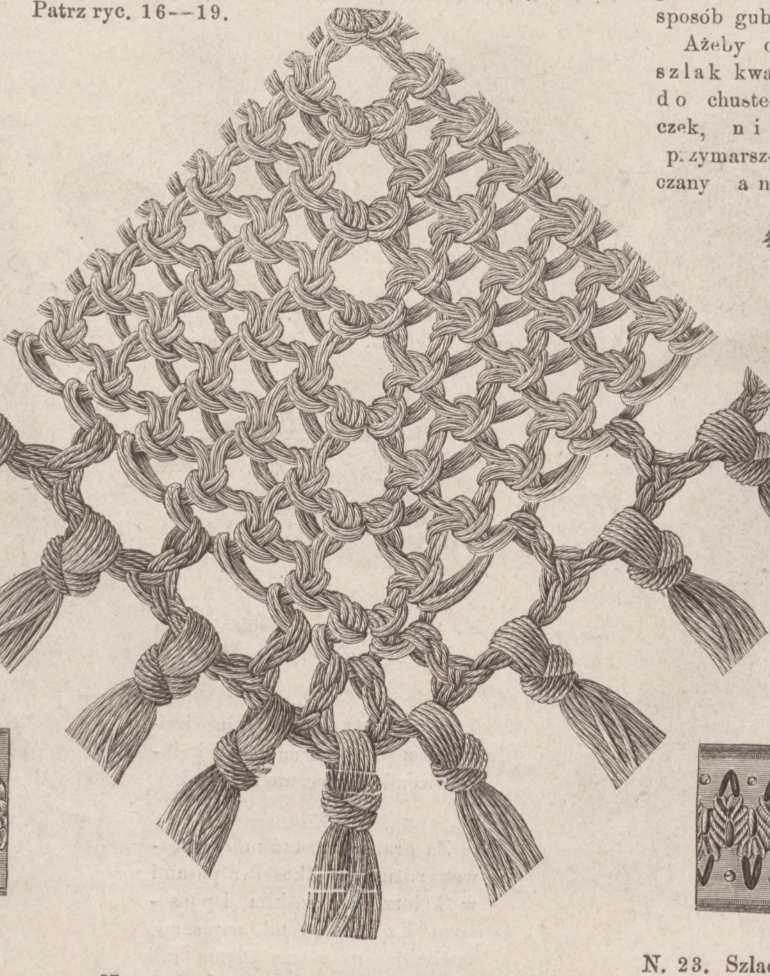


N. 20. Suknia z vetement. Patrz ryc. 35 i 36 w N-rze 20.

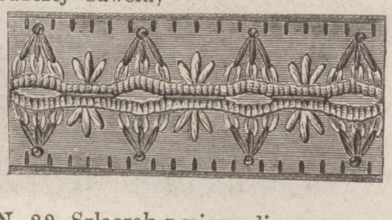
służy N. 80. Trudniejsza jest robota siatki tworzącej kwadrat na ryc. 22 wskazany, a bardziej jeszcze dorabianie zębów zakończonych dziurkami, stanowiącemi brzeg ładny i mocny; na ryc. 12 do 24, podajemy cały przebieg roboty i objaśnienie wszelką trudność usuwające. Siatkę najlepiej zaczynać przy odrobionym z grubszej bawełny na trochę grubszym wałeczku brzeżku, podług ryc. 12 wykonanym, który się następnie odcina; dziurki składają się z dwóch ciągle powtarzanych rzędów, oczka zaś w siatce z zębami muszą iść



N. 18. Chustka kwadratowa robiona szydełkiem. Patrz ryc. 16—19.

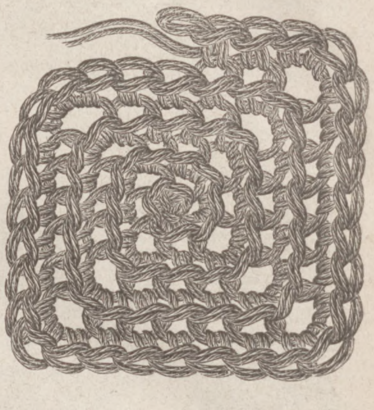


N. 19. Róg chustki szydełkowej ryc. 18.



N. 22. Szlaczek z mignardisse przyszytej ściegiem luźnym.

skośnie jak to na próbkach widzimy. Chcąc mieć siatkę z oczkami prostemi, trzeba ciągle z jednego brzegu przybierać z drugiego gubić, przyczem otrzymamy brzegi proste jak przy próbce ryc. 25 Chcąc mieć



N. 16. Tło szydełkowe do chustki ryc. 18.

siatkę z zębami z jednego brzegu robi się ciągle równo, z drugiego przybiera ciągle aż do środka zęba żądanej wielkości, a następnie gubi, bacząc przy robieniu dziurek na zmiany zachodzące przy wgłębieniu i na czubku zęba, wskazane na próbce ryc. 16—20.

Zaczynamy robotę od wgłębienia zęba a więc od przybierania z dziurkami; duże oczko otrzymuje się przez zarzucenie nitki dwa razy na wałeczek, robi się dalej równo do końca, odwraca robotę, a gdy dojdziemy do dużego oka wiąże się o. pierwsze, przewłóczy nitkę nie dając węzła, w sposób na ryc. 13 wskazany punkcikami, nakoniec robi się o. 3-cie, którego węzeł wypadać powinien w miejscu wskazanem, poczem jedno oko zwyczajne i robić rząd następny w sposób na ryc. 14 wskazany. Na ryc. 15 widzimy dalsze przybieranie ocz. dużych i sposób zrabiania razem, dwóch, jedno pod drugiem będących o. brzeżnych. Ryc. 16 uczy formowania spiczastego czubka zęba; na 17 zaczyna się gubienie, na 18 i 19 są dalsze rzędy; wszędzie znaki punkcikowe dokładnie wskazują przeprowadzenie nitki i sposób gubienia.

Ażeby otrzymać szlak kwadratowy do chusteczki, nie pomarszczany ani



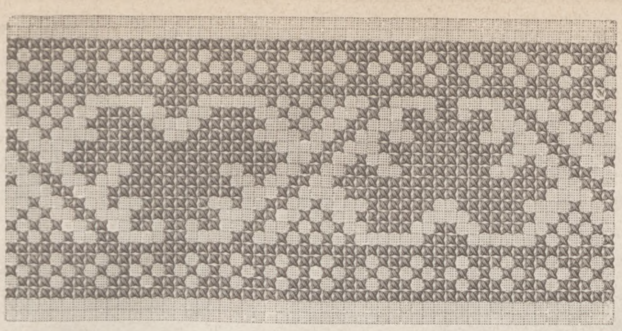
N. 21. Suknia z vetement i paletocikiem. Patrz ryc. 38 i 39 w N-rze 21.

zeszywany w rogach, trzeba najpierw zrobić dwa szlaki boczne, następnie w sposób na ryc. 21 wskazany, do oczek stanowiących zaczęcie (które się potem odcina), przybierać stronę 3-cią i 4-tą złączoną w końcach z poprzedzającemi. W jaki sposób formują się zęby dolne i narożniki wskazuje ryc. 23.

Łatwo także dojść z powyższego opisu, w jaki sposób robi



N. 23. Szlaczek z torsadki przyszytej ściegiem luźnym.



N. 24. Szlak do ręcznika ryc. 11.

się barbki lub krawatki z zębami po obydwóch stronach.

N. 26—29. Modele parasolików.

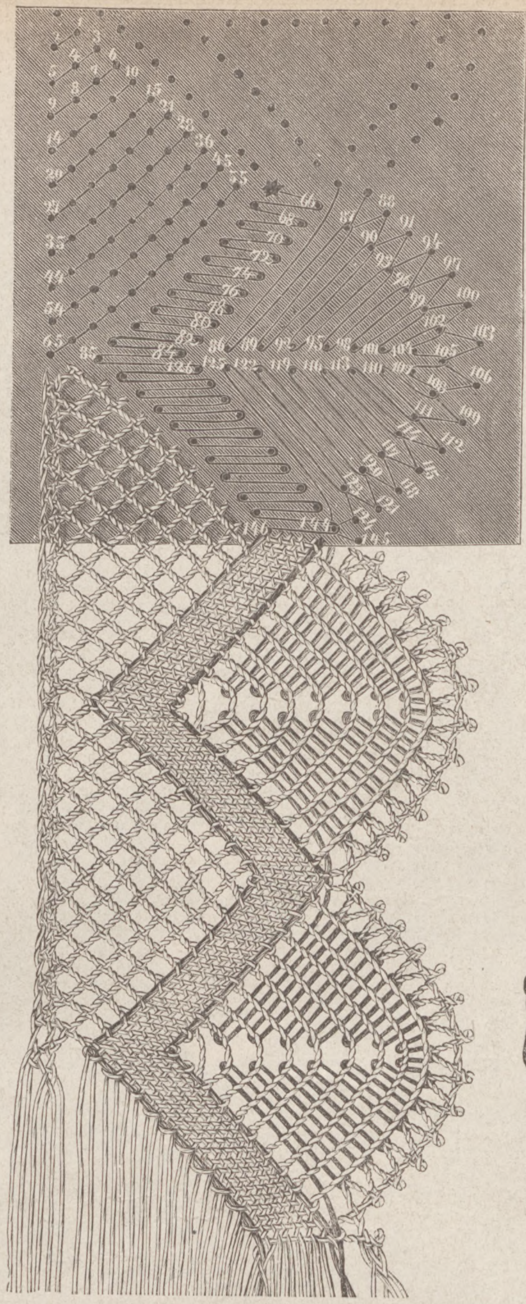
Wymaganiem mody jest ażeby parasoliki zgadzały się z kolorem sukni i kapelusza; prawo to stosuje się nie tylko do bogato przybranych parasolek spacerowych, lecz nawet do skromnych *en-tout-cas* które przynajmniej kolorem wstążki w kokardzie odpowiadać powinny kolorowi lub przybraniu sukni. Do strojnych parasolików formą chińską lub markizy, pokrytych materyą gładką lub adamaszkową, używane są do oszycia, frendzle, koronki lub pukielki ze wstążki jak przy ryc. 27 i kokardy ze wstążki w jednym lub dwóch kolorach. Łańcuszki jeszcze w zeszłym roku używane, ustępują miejsca sznurkom z kwastami a bardziej jeszcze wstążkom, jak przy ryc. 27—28. Nowość stanowi duży monogram, jedwabiami na jednej kwaterce haftowany. Przy strojnych parasolikach pręciki powinny być owijane wązką, kolorową wstążeczką, jak na ryc. 26. Jeżeli parasolik jest z podszewką, ta powinna być przyszyta w ten sposób, ażeby pręciki były widoczne. Rączki ładnie wyrobione z drzewa, zachowującego kolor naturalny, należą do najmodniejszych. Podszewki i kokardy w jaskrawo-czerwonych i wszelkich żółtych odcieniach są bardzo używane.



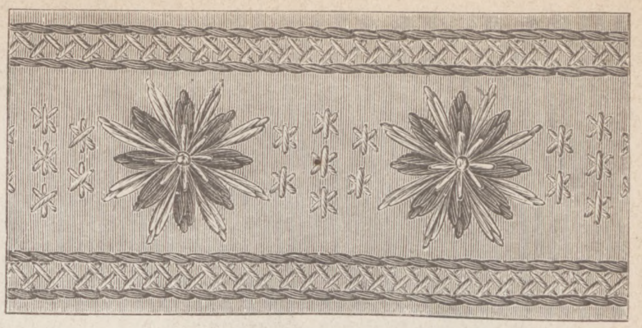
N. 27. Paletot ze sznurowanemi plecami. Patrz ryc. 28.

N. 30—31. Modne rękawiczki.

Rękawiczki powinny także zgadzać się z kolorem sukni lub wypustek, najmodniejsze są ze szwedzkiej skórki ze sztylpami, jak na ryc. 30. Oprócz mitenek siatkowych i koronkowych wchodzą także w użycie, do pół-



N. 26. Koronka robiona ręcznie przy pomocy szpilek.



N. 25. Galon wyszywany jedwabiem do sukni ryc. 1 i 38 w N-rze 20.

długich rękawów, długie mitenki bez palcy, z cienkiej i miękiej skórki.

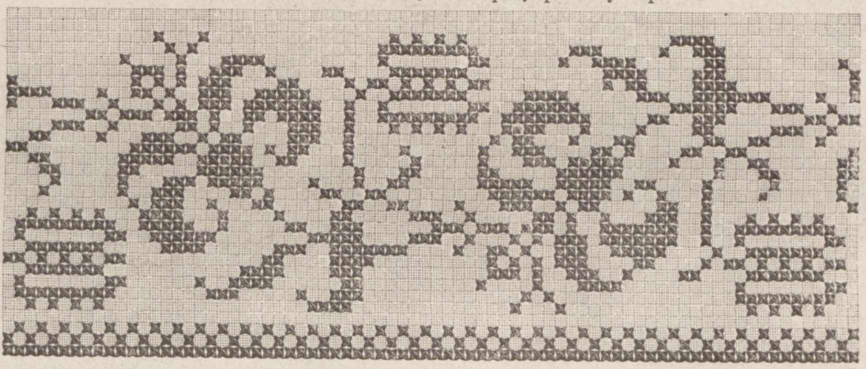
N. 34—36 i ryc. 20 w N. 21. Suknia z vêtement.

Vêtement zapinane z przodu albo z boku, prosto albo skośnie, na jeden lub więcej rzędów guzików, przykroić można podług formy do ryc. 23, w N. 19 Tygodnika; potrzebne zmiany kroju i miary łatwo będzie można dopełnić podług zmniejszonego rysunku ryc. 36. Boczki przy ryc. 36 nie są wcale we wcięciu stanu nadpuszczone, a przy plecach nadpuszczenie ma miejsce tylko przy szwie środkowym; zbywający materyał jest w 12 cent. szeroką, potrójną kontrafałdę ułożony, w górze pozostawiony nagłówek 8—9 cent. wysoki, pod którym przypięta kokarda ze wstążek w dwóch kolorach, 4 cent. szerokich. Można także przypuszczony materyał podszyć w górze materyą i spuścić niefałdowany nakształt kapturka beduinowego. Długość vêtement dozwala najrozmaiciej zmienić układ podpięcia; na modelu jednak tylko z jednego boku pod kieszenią założone były dwie głębokie fałdy, całe zaś vêtement prosto i długo spadało na suknię z małym trenem. Do wyjścia nie tylko spódnica się podpina, ale i przy vêtement na 8 cent. od nagłówka przyszyty jest guziczek od spodu, a 40 cent. niżej pentelka (widoczna na ryc. 36) które służą do skrócenia vêtement; tworzą zręczny pukiel.

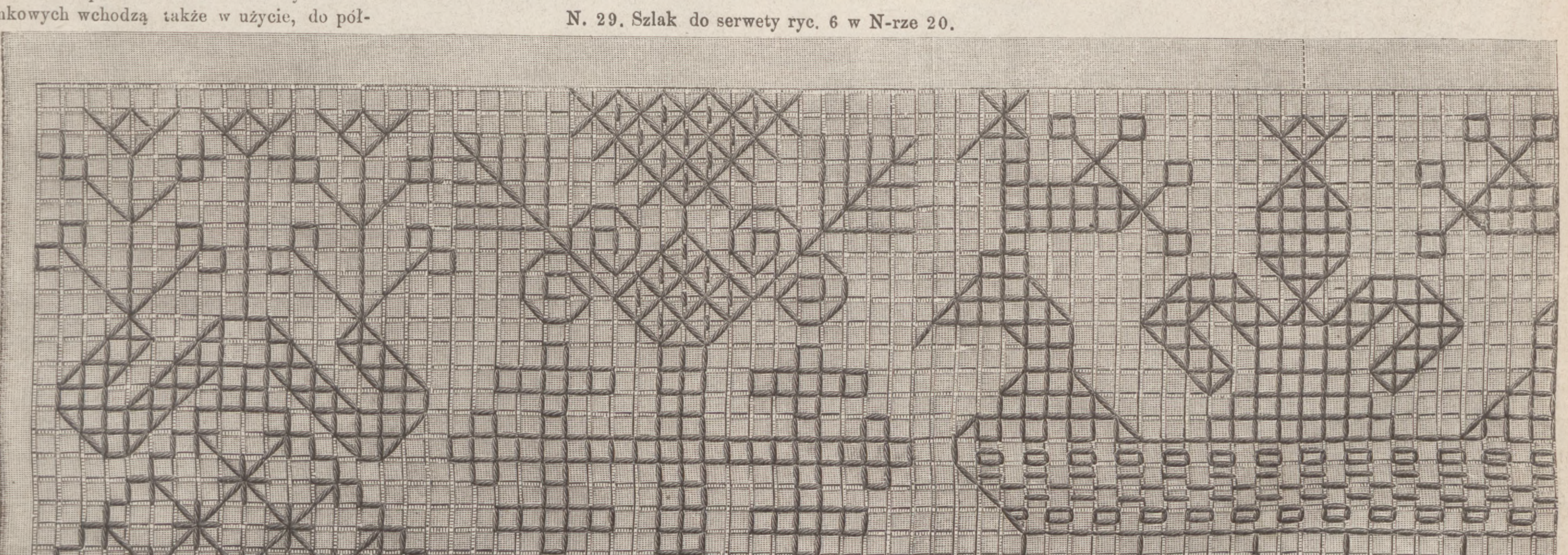


N. 28. Paletot ze sznurowanemi plecami. Patrz ryc. 27.

(dok. nast.)



N. 29. Szlak do serwety ryc. 6 w N-rze 20.



N. 30. Szlak wyszywany i kratka ażurowa do ręcznika ryc. 10 w N-rze 20.



N. 33. Pasterka z brukselskiej słomki. N. 36. Kapelusz z rondkiem wyginanem. N. 38. Kapelusz wiązany bez główki. N. 35. Kapelusz podróżny. N. 32. Kapelusz ze skośną główką. N. 31. Kapelusz ze skośną główką. Patrz ryc. 31. N. 34. Kapelusz wiązany z florenckiej słomki. N. 37. Kapelusz bastowy. N. 39. Płaski okrągły kapelusz.